

Kamena

LUBLIN 1 II 1981 NR 3 (723)

DWUTYGODNIK SPOLECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 3 ZŁ

PRZYCZYNY LIPCA '80

Piotr Karpus
Sławomir G. Kozłowski
Michał Zieliński
Andrzej Żuk

Charakterystyczną cechą wielkich protestów społecznych w Polsce w ostatnim dwudziestopięcioletniu stanowiło to, że były one niejako dwustopniowe. Układ wydarzeń w 1956 i 1980 roku był podobny pod tym względem, iż protest ogólnospołeczny prowadzący do zmiany ekipy rządzącej i zasad życia społecznego poprzedzony został konfliktem lokalnym. Mechanizm wydarzeń niejako podobny do burzy, którą poprzedza i zapowiada uderzenie pioruna. (W pewnym sensie prawidłowość ta wystąpiła również podczas polskiego grudnia. W tym przypadku za zwiastun przyjąć można wydarzenia marcowe z 1968 roku). Ogólne przyczyny, które doprowadziły do strajków na Wybrzeżu i ich przeniesienia na resztę kraju, są dzisiaj — na ogół — nieźle znane. Brak jednak prób wyjaśnień specyficznych źródeł wcześniejszej o miesiąc akcji strajkowej w Lublinie i regionie lubelskim.

Zasadnicze czynniki, jakie doprowadziły do konfliktu, były bez wątpienia zbliżone do tych, które ujawniły się w sierpniu. Otwarte są jednak dwie kwestie. Dlaczego właśnie Lublin-Swidnik był miastem zapoczątkującym szeroką akcję protestacyjną oraz jakie przemiany nastąpiły w świadomości mieszkańców, że postawa ich uległa tak znacznej zmianie w stosunku do przeszłości?

Dokończenie na str. 3



Fot. Waldemar Stępień

Po zjeździe literatów

Cudowna melina

Henryk Pajak

Teraz to ja już na dobre nie wiem, kto ocenzurował XXI zjazd literatów: cenzura czy sami literaci? Na otwarciu imprezy stawiała się ekipa telewizyjna i grupa dziennikarzy prasowych. Wszystkich odprawiono spod drzwi z niczym, z małym wszakże wyjątkiem: wpuszczono przedstawiciela PAP.

Drugiego dnia obrad, od wieczora do północy, na stoście sprzętu siedział operator TV. Znów czekał na pozwolenie. I znów się nie doczekał, choć już z pierwszego dnia telewizja zarezerwowała dziesięć minutówek ze zjazdu. W pewnej chwili pochyliłem się nad operatorem i zapytałem dlaczego nie wejdzie bez pozwolenia, jak to przeważnie czyniła: reporterzy. Spojrzył na mnie udreżonym wzrokiem, potem przeniósł go na kupę drogiego

sprzętu. Zrozumiałem: zrobić nielegalny reportaż ze zjazdu literatów to nie to samo, co z klatki pełnej tygrysów bengalskich, w której można wprawdzie stracić życie, ale ocalić niejadalne kamery!

Drugiego dnia w „Życiu Warszawy” ujrzałem jednak na pierwszej stronie fotkę z tzw. kulturalistów. Stali obok siebie, perorując w najlepszym, A. Wasilewski i A. Międzyrzecki, jeśli dobrze ich rozpoznałem. To mi przypomniało inne zdjęcie, sprzed wielu lat: uśmiechnięci, w promiennej kurtuazji stoją obok siebie z kieliszkami w dłoniach, z okazji nagrody Pen-Clubu dla Miłosa — Putrament, Miłosa, Aragon i Supervielle. Co ten czas wyprawia z ludźmi!

Dokończenie na str. 5

KTO POMOŻE REFORMIE?

Lesław A. Paga

OKAZUJE się, że wszyscy chcą dobrze dla naszej gospodarki, mimo że jedni oczekują od reformy, iż niby czarodziejska różdżka przemieni optakaną strukturę gospodarczą w krajnie dostatki i dobrobytu, drudzy natomiast twierdzą, że naszej gospodarce reforma w chwili obecnej może tylko zaszkodzić.

Kiedy dziś mówimy o zmianie mechanizmu gospodarczego, niezwykle ostro brzmią przypomnienia o losach reform polskiej gospodarki z lat 1956—57 oraz zmian z okresu 1971—73. Powstają przy tym pytania istotne — dlaczego wtedy się nie udało, dlaczego przegrały te siły społeczne i polityczne, które reformę popierały? I czy teraz szansa stojąca przed gospodarką zostanie zrealizowana?

Zanim spróbujemy określić siły, które są obecnie reformą zainteresowane, oraz tych, co na reformie tracą, powróćmy do sposobu dyskusowania o reformie.

Niby hasła typu: „stop rozkładowi gospodarki polskiej” przyjmowane są z aprobatą wśród szerokich kręgów społeczeństwa. Ale jednocześnie musi-

my sobie zdawać sprawę, że nie można pozytywnie reagować na hasło reformy gospodarczej, niezbyt dokładnie wiedząc, co się za nim kryje. W dyskusjach, prowadzonych przez ekonomistów, praktyków gospodarczych i dziennikarzy specjalizujących się w problematyce gospodarczej, pojawiają się nazwy: „projekt Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego”, „projekt zespołu młodych ekonomistów SGPiS pod kierownictwem Leszka Bałcerowicza” i wreszcie „projekt Komisji Rządowej”. Przy czym ostatni przedstawiany bywa jako ten, który poprzez rangę zespołu pretenduje do wyłączności i domniemanie o jego całkowitej słuszności. Czyżby na sposobie przygotowywania reformy zaciążyły stare metody — jeden „honorowy” zespół i jedna droga rozwiązań?

Fakt, że w komisji tej brało udział blisko pięćset przedstawicieli specjalistów, robotników, partyjnych i bezpartyjnych, a także działaczy gospodarczych i społecznych, przemawia w moim odczuciu przeciw takiej formie,

Dokończenie na str. 9

161. Przeczytałem ostatnio „Kartki kontrowersyjne” pióra Władysława Wojskiego. Zmarły przed pięcioma laty autor — działacz SDKPiL i KPP, w odrodzonej Polsce — minister administracji publicznej, który później (odsunięty na boczny tor) wszystkie siły poświęcił bibliotekarstwu — to postać niezmiernie barwna. Zainteresowanych odsyłam do książki, o której wspominał (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1980 r.). Teraz przytaczam z niej znamienne fragmenty rozmowy, jaką z Wojskim przeprowadził Jerzy Broszkiewicz. Fragment ów dotyczy stosunków, które panowały w więzieniu łuckim, gdzie władze sanacyjne trzymały komunistów lub ludzi z nimi sympatyzujących. I jeszcze dodam: przytaczam ten fragment, bo diabli mnie biorą, kiedy słyszę, jak pewien osiemnastolatek, wychuchany przez swych rodziców, plecie androny na temat tego, jaka to Polska międzywojenna była przeducudowna. Osiemnastolatek nie jest zresztą w swych poglądach odosobniony. A więc cytuję, myśląc, że już się nie zgorzy:

„Otrzymałem wiadomość o jednej z dziewcząt — tak pisze Wojski — warszawiance zresztą, że była w Łucku szczególnie maltretowana — podwieszano jej głowę pod sufitem, puszczano na nią psy, ale najtragiczniej dla niej obróciła się sprawa normalnie zresztą stosowanego gwałtu: przychodziło do celi trzech szneci, dwaj pierwsi gwałcąc mówili: — A ty, Józek, będziesz ostatni, bo z tym swoim syfilisem ty nam tutaj nie pasujesz. — I dopiero jak ci dwaj się zmęczeni, to rzucałi: — A ty ze swoim syfilisem możesz na nią pójść...”

I nieco dalej: „...jak Budzyńska do niej dotarła, okazało się, że ona w tej celi wariuje. Po pierwsze, wydawało jej się, że jest w ciąży (... i że urodzi dziecko jakiegoś szpiega, który ją katował. Udało się sprowadzić tam lekarza i dziewczynę uspokoić. Okazało się, że w ciąży nie jest, żadnego syfilisu nie ma, jednym słowem wszystko było we względny porządek. Dostała następnie jakiś duży wyrok. Osiem czy sześć lat...”

Względny porządek! Brr!

191. Tygodnik studencki „ItD” wystartował z miesięcznym „samorządowym i niezależnym” dodatkiem „społeczno-pornograficznym” pt. „Plebey”. Redagują: A. Czeczot M. Goebel, M. Rybiński i H. Waniek przy współpracy m. in. M. Zembatego. Z wiadomości krajowych warto zacytować poniższe:

● Na walnym zebraniu w dniu wczorajszym prezesa Szczydło na jego własną prośbę motywowaną ciężkim stanem zdrowia i ogólnym wyczerpaniem wyróżniono na zbitą mordę ze stanowiska.

● Siostra Anna S. w szpitalu niespokojnie wierciła się w miejscu. Nagle patrzy, a ona ma romans z urologiem.

● Już wkrótce w Katedrze Świętego Jana w Warszawie odbędzie się uroczysta msza w intencji powodzenia materializmu dialektycznego. Do mszy służą będą sekretarze wydziału i Polskiej Akademii Nauk.

Wiadomości z Lublina nie ma. A szkoda. W biuletynie „Solidarność Uniwersytecka” ukazał się wywiad z rektorem UMCS Wiesławem Skrzydło. Pobiliśmy Zachód na głowę: 91 pytań, 91 odpowiedzi. Rektor poszedł tak daleko, że nie tylko udzielił wywiadu, ale zgodził się na przepisanie tekstu na maszynie oraz koszty druku. Zgodził się również — jak przeczytałem w słowie od redakcji — udzielił — jeśli będzie trzeba — następnych wywiadów.

„Młodości! podaj mi skrzydła!” — pisał Wieszczyk. Prorocze słowa!

211. Łódzki tygodnik „Odgłosy” przedrukował z „Kamenu” (w nrze z 18 stycznia) wywiad I. J. Kamińskiego z prof. Andrzejem Burdą. Kierownictwo „Odgłosów”, które z całą energią włączyło się w proces odnowy (może zmienić tytuł na „Odgłosy odnowy?”), miało

dobrego dziennikarskiego nosa. A swoją drogą gdy tak teraz przeglądam wychodzące w tzw. terenie pisma społeczno-kulturalne widzę, jak różna jest Polska, jak różne redakcje i... reakcje na to, co się w kraju dzieje. Porównanie wartości (treściowej, treściowej) trzech nowych tygodników ukazujących się w naszym regionie za ileś tam lat będzie mogło stanowić nawet temat pracy doktorskiej! Z młodych dziennikarek do najbardziej bojowych (cały czas mam na myśli pisma pozalubelskie) i... płodnych należy Zofia Sawicka ze „Słowa Podlasia”, która niegdyś debiutowała w „Kamieniu”. Tylko czekać, aż ktoś ją poskromi, chociaż — moim zdaniem — walczy o słuszną rzecz.

A teraz o własnym podwórku. Nawet niezbyt wnikliwy czytelnik dostrzeże w naszych artykułach różnicowanie poglądów. Każdy pisze na własny rachunek. I tak powinno być, jeśli chcemy szeroko odzwierciedlać opinie naszego społeczeństwa. Rzeczą zrozumią jest, że nie wszyscy pracownicy i współpracownicy „Kamenu” myślą identycznie. Mnie na przykład drukowana w bieżącym numerze relacja Henryka Pajaka z ostatniego zjazdu literatów wydaje się dość subiektywna. On jednak w zjeździe bezpośrednio uczestniczył, a ja znam zjazd jedynie ze skąpych informacji prasowych (i „Kultura” i „Życie Literackie” nie wysiliły się, jedynie „Polityka” opublikowała kilka występów z dyskusji). W minionym okresie przyzwyczailiśmy się do jednomyślności, która w gruncie rzeczy była tylko pozorna. Teraz nikogo nie powinno dziwić, że ludzie reagują różnie.

(Dopisuję 23 stycznia. Dzisiejszy „Kurier Lubelski” opublikował wywiad z nowym prezesem lubelskiego oddziału ZLP, Bohdanem Królakowskim, i sekretarzem — Józefem Ziębą. Powiedzieli oni o zjeździe ZLP: „Nie podzielimy opinii jakoby zjazd był jedynie walką o władzę i sądem nad pokonanymi, że głównym jego akcentem było rozliczenie ustępujących władz. Wystąpienia, z którymi się nie zgadzaliśmy, były nieistotne i sporadyczne. Ton zasadniczo dyskusji był poważny, mający na uwadze dobro spraw kultury i literatury polskiej. Władzom obryzmie nadzieję z nowym zarządzeniem. Nie mamy też obaw co do pracy nowego Zarządu Głównego i mamy pełne zaufanie do prezesa J. J. Szczepańskiego. Uważamy, że powołanie stanowiska wiceprezesa do kontaktów z oddziałami terenowymi daje szansę również właściwego działania środowiskom literackim w oddziałach”. Dodam od siebie — pożyczymy, zobaczymy.)

Ludzie myślą różnie, ale — tu już dotykam szerszego problemu — odnoszę wrażenie, że my wszyscy mamy zbyt małą kulturę w wyrażaniu własnych poglądów i w rozumieniu poglądów, których nie podzielimy. Daje się to zwłaszcza zauważyć w środowiskach inteligentnych. Niektórzy działacze „Solidarności” również nie lubią nagan, uważając, że najmniejsza krytyka ich poczynań to stawianie tamy odnowie. Jerzy Urban napisał w „Życiu Warszawy” z 19 stycznia: „We wrocławskiej fabryce zarząd „Solidarności” skutecznie zażądał od dyrekcji wyrzucenia z pracy swego członka — robotnika za wyrażanie na związkowym zebraniu odmiennego, niż zarząd poglądu. Reporter to opisał i chociaż mówił prawdę druk tego tekstu napotkał w pewnej redakcji sprzeciw części redaktorów, skądinąd bezkompromisowych miłośników prawdy. Wynikało to z ich sympatii do „Solidarności”, powodującej niechęć do obsmarowywania tej organizacji. Nieważne tu jest to, że przeciwnicy tekstu uprawiali złą miłość, bo przecież wyjęcie spod krytyki nagannych poczynań „Solidarności” nieuchronnie musiałoby doprowadzić do takich samych schorzeń tej organizacji, jakie były udziałem wyjętej spod krytyki instancji PZPR. Chodzi o sam mechanizm sprawiający, że ideowe sympatie oraz intencje polityczne silą rzeczy i w obrębie każdego organizmu, skłaniają do manipulowania prawdą...”

Uwagi Urbana odnoszą się z powodzeniem również i do MKZ NSZZ „Solidarność” z naszego regionu (mam pełne prawo o tym napisać,

bo „Kamena” z całą życzliwością i natychmiast, co też się liczy, towarzyszyła poczynaniom nowego Związku). Przedstawiciele MKZ, co przeczytałem w biuletynie „Solidarności” (redagowanym obecnie m. in. przez pracownika „Kamenu”, którego na mocy odpowiednich porozumień odgórnych musieliśmy na pewien czas oddelegować), zażądali od wojewody „zwarantowania członkom KZ-ów, MKZ Regionu oraz przewodniczącym komisji zakładowych osobistego bezpieczeństwa poprzez wydanie na piśmie gwarancji nieetykalności osobistej...” Wojewoda słusznie oświadczył (też cytuję z biuletynu), że „prawo w naszym kraju musi być jednoznaczne dla wszystkich obywateli...” (Na marginesie: w następnym numerze „Kamenu” opublikujemy obszerny wywiad z wojewodą lubelskim, Eugeniuszem Garbaczem. W wywiadzie nie brak pytań traktowanych dotąd jako tematy tabu).

A swoją drogą z wieloma tekstami, które ukazują się na łamach wspomnianego biuletynu, można polemizować. Rzeczowo, unikając demagogii i tonu, jaki proponują niektórzy autorzy biuletynowych tekstów. Czytam np., że Polska jest jedynym poza Albanią krajem europejskim, w którym nie ma wolnych sobót. Jedynym? A może się założył? W NRD są wolne soboty, prawda, ale czy w pozostałych pięciu dniach ludzie pracują jedynie 40 godzin? Mam w tym kraju dobrych znajomych. Wychodzili do roboty przed siódmą, a wracali po siedemnastej. Owszem, mieli przerwę obiadową, posilek konsumowali we własnej stołówce, ale efektywnie pracowali przez 8 godzin i 45 minut. Podsumujmy! Nie będę dodawać, że w NRD są tzw. sobotniki, czyli soboty, w których pracuje się społecznie dla dobra Republiki. Kiedy była otwarta granica, w Berlinie — w sklepach i na ulicach — częściej słyszało się język polski niż niemiecki. „Kiedy, wy, Polacy, pracujecie?” — pytało mnie niejednokrotnie. I w tych pytaniach było raczej zdziwienie niż złośliwość. Kilka lat temu gościłem w Lublinie „moich” NRD-owców. W południe szliśmy ulicą Lubartowską, ledwie mogąc się przecisnąć przez tłumy przechodniów. „Beginnt jetzt vielleich die Mittagspause?!! (Czy zaczyna się teraz może przerwa obiadowa?)” „Tak” — odpowiedziałem, nie sądzę jednak, aby mi uwierzyli.

251. Kontrowersje między rządem a „Solidarnością” na temat wolnych sobót trwają. Zbyt długo! Wczoraj wiele osób przeżywało rozterki — pójść do pracy czy nie? Wyobraźm sobie, jak gimnastykują się dyrektorzy!

Swoją opinię na temat wolnych sobót wyraziłem już w poprzednim numerze. Sytuacja przypomina mi zabawę polegającą na ciągnięciu liny — kto kogo przeciągnie. Gdyby nasza lina była tęgą, nie byłoby wielkiego problemu. Ale ta lina jest tak poszarpana, że po prostu pęka.

Felietonista „Faktów (Jotgeer) napisał:

„Może warto ogłosić Polskę Rzeczpospolitą Niepracującą? [...] Rząd przed tym specjalnym dekretem podwyższył by wszystkim pensje — powiedzmy do tysiąca dolarów miesięcznie minimum, a my byśmy wtedy na pewno byli za socjalizmem, rządem, partią i święcilibyśmy co tydzień 7-dniowy okres wolności od pracy i obowiązków. Praca stałaby się legendą. [...] Zylibyśmy, bawilibyśmy się, żarilibyśmy zapasy, kłóciłibyśmy się ogólnonarodowo, ogłaszałibyśmy strajki dla niepracujących (albo dla pracujących tu i ówdzie wariatów), podnosilibyśmy przez to naszą stopę życiową do poziomu szlachty lub kupców weneckich. [...] Ameryka nam poczeka, Europa Wschodnia i Zachodnia. Albo to nie jesteśmy jej nierzalnym punktem? Jesteśmy, a jak! Byliśmy już pawiem, papugą, Chrystusem narodów, teraz możemy być dla odmiany — nie, nie żebaktem, to brzmiał upokarzająco: dłużnikiem, pożyczającym... Słowo honoru — oddamy! Musimy sobie zapewnić przywileje, jakie są udziałem państw najbogatszych. Będziemy walczyli o to do ostatniego guzika: pójdziemy do przodu, aby szybciej pójść do tyłu!”

Felietonista ma prawo sobie trochę pozartować. Humor to jednak wisielczy.

M. A. Jaworski

Rewaloryzacja czy restytucja?

Termin „odnowa” robi — i to nie po raz pierwszy u nas — zawrotną karierę. Warto zastanowić się nad jego znaczeniem. W ekonomii oznacza on proces wymiany zużytych czynników produkcji na nowe. Mamy dwa takie czynniki ludzi wraz z ich kwalifikacjami oraz środki produkcji. Każdy z nich odnawia się w różny sposób. Maszyny i urządzenia eksploatowane są do pełnego zużycia i zastępowane nowymi. Inaczej rzecz ma się z ludźmi. Nasza zdolność do pracy zanika bardzo szybko. Już po kilku godzinach nie jesteśmy zdolni pracować dalej. Ale i proces odtwarzania zużytej siły roboczej jest bardzo szybki. Wystarczy kilka godzin snu, trochę kielbasy, wiecezór z dziennikiem, nieco innych dóbr oraz usług i już następnego dnia zdolność do pracy powraca. Jest tak do momentu przyjmijmy umownie — siedemdziesiątego roku życia, gdy zdolność ta zanika niemal całkowicie.

Omówione kwestie można uogólnić. Mamy tutaj do czynienia albo z procesem restytucji, tj. zastąpienia zużytego czynnika nowym, albo z rewaloryzacją, polegającą na przywróceniu pierwotnemu czynnikowi pełnej wartości. Z poprzedniego akapitu można wyciągnąć wniosek, że majątek trwały jest restytuowany, a wartość siły roboczej rewaloryzowana. Oczywiście od tej ogólnej reguły są wyjątki. Na przykład część nieprodukcyjnego majątku trwałego może być tak ważna dla kultury narodowej (zabytki), że będzie rewaloryzowana, mimo że restytucja byłaby tańsza.

Pytanie o styl odnowy jest zatem pytaniem, czy odnawiać to, co jest, czy zastępować stare nowym. Kwestia wydaje się złożona, co pokażemy na następującym przykładzie. Pewien znany literat podczas VI Plenum powiedział: „Mimo, że myślimy już parę razy zawiedli klasę robotniczą, musi ona nam uwierzyć choćby dlatego, że nie ma dla niej innego wyjścia. Ci, jak na przykład wybitni aktorzy i filmowcy, którzy już zdążyli złożyć pielgrzymkę nowemu mesjaszowi polskiej klasy robotniczej z Gdańska, nawet oni po pewnym czasie zrozumieją, że to jest pusta droga, i że to jest bardzo brzydki szczegół ich biografii”. Nie ograniczył się jednak tylko do krytyki. Na Plenum siódmym przedstawił program konstruktywny: „gdybyśmy nie wytrzymali, gdybyśmy poszli na przedwczesny zjazd [...], to wcale nie oznaczałoby umocnienia demokracji. Osobiście myślę, że nasze kierownictwo wybierze należyty kierunek uderzenia i także należytych ludzi. [...] W przeszłości bardzo często źle wybieraliśmy ludzi”.

Z tych cytatów wynika, że źródłem naszych niepowodzeń jest to, iż kierownictwo źle wybrało ludzi. Dziwi mnie to tym bardziej, że większość uczestników dyskusji formułowało tezę odwrotną — iż to ludzie wybrali złe kierownictwo. Okazuje się jednak, że klasa robotnicza nie ma wyboru. Muszę, jako „inteligentny proletariusz”, zaprotestować. Klasa robotnicza ma wielki wybór. Wybór ludzi mających prawo przemawiać w ich imieniu. Będzie to głosowanie za rewaloryzacją albo restytucją. Wynik głosowania zależy od tego, czy autora cytowanych wypowiedzi uznamy za zabytek, czy też za zużyty czynnik.

emzet

PS. Więcej szczęścia do wypowiedzi politycznych ma inny znany literat. Mam tutaj na myśli artykuł W. Machajki w noworocznym numerze „Życia Literackiego”. Dla odmiany, niestety, napotkał na kłopoty z ekonomią. Podaje, że stopa inflacji wyniosła w latach 1971-80 oficjalnie 62,8 proc., a nieoficjalnie — 134 proc. Według Rocznika Statystycznego — wzrost kosztów utrzymania w latach 1971-1979 wyniósł 43,5 proc. Wg GUS ceny w okresie od 1.07.1979 do 1.06.1980 r. wzrosły o 6,5 proc. Łączny wzrost kosztów utrzymania — według danych GUS — wynosi około 53 proc. Dotychczasowy rachunek kosztów utrzymania można krytykować. Rzecz w tym, że poza jego wynikami innych danych nie ma. Istnieją dwie możliwości. Albo autor „Mejsoje obserwatorium” się pomylił, albo dysponuje on danymi niepublikowanymi. Hipotezę tej przesyła informacja o danych oficjalnych i nieoficjalnych. Chyba że mamy już w Polsce dane: oficjalne, nieoficjalne-oficjalne i oficjalne-nieoficjalne.

O Miłoszu

Rozmowa z prof. Ireną Sławińską

MIROSLAW DERECKI: — Znamy panią, profesor jako badaczka i wykładowcę literatury na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie też kieruje pani katedrą dramatu i teatru Wydziału Nauk Humanistycznych. Od szeregu lat zajmuję się pani twórczością Czesława Miłosza. W grudniu ubiegłego roku uczestniczyła pani w uroczystościach związanych z wręczeniem Nagrody Nobla, osobiście zaproszona do Sztokholmu przez laureata. O ile mi wiadomo znajomość pani z Czesławem Miłoszem datuje się jeszcze z wileńskich lat studenckich...

IRENA SŁAWIŃSKA: — Tak. Poznaliśmy się na uniwersytecie im. Stefana Batoryego w Wilnie. On studiował prawo a ja polonistykę, ale oboje byliśmy członkami Sekcji Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów. Sądze jednak, że w naszej wieloletniej znajomości znaczenie najbardziej istotne ma okres o wiele późniejszy, gdy Czesław Miłosz był już we Francji. Właśnie wtedy nasza dawna młodzieńcza znajomość otrzymała szansę sprawdzenia się. Należy do tej grupy osób, które zawsze, także w najtrudniejszych dla Miłosza czasach, uznawały go za wielkiego poe. Wykładałam o nim, wiele pisałam o jego twórczości i korespondowałam z Miłoszem przez wiele lat. Toteż dzisiaj mam szczególną satysfakcję, że gdy inni muszą dopiero „odkrywać” Czesława Miłosza, to wychowankowie naszego uniwersytetu znają go już od trzydziestu lat. Napisałam na KUL-u o Miłoszu szereg prac ćwiczeniowych i magisterskich; szczególnie wiele w latach 1976—1979.

MIROSLAW DERECKI: — A jeżeli chodzi o pani publikacje?

IRENA SŁAWIŃSKA: — Z ich publikowaniem bywało różnie: na przykład jeszcze w 1957 r. wydrukowałam w „Tygodniku Powszechnym” esej o powieści Miłosza „Dolina Issy”, która ukazała się we Francji w 1955 r. Natomiast w sierpniu ubiegłego roku cenzura zdjęła mój duży artykuł o Miłoszu, z tak szacownego czasopisma jak „Pamiętnik Literacki”. Nosił tytuł: „Obraz poety i jego gospodarstwo”; dwa lata wcześniej zamieścił go znany amerykański periodyk „World Literature Today” (oczywiście w języku angielskim), wydawnictwo ukazujące się dwa razy do roku, poświęcone literaturom mniejszych krajów. Właśnie to czasopismo przyznało co dwa lata specjalną nagrodę poetycką, znaną w świecie pod nazwą nagrody Neustadt. Jej laureatem jest m.in. Czesław Miłosz. Kończąc tę, niewesołą opowieść „ze sfer wydawniczych”, wyrażam nadzieję, że „Pamiętnik Literacki” nie będzie miał teraz trudności z wydrukowaniem „Obrazu poety...”.

Ale kiedy już zeszliśmy na tematy wydawnicze — przed trzema czy czterema laty Państwowe Wydawnictwo Naukowe, przygotowujące książkę typu „przewodnik literacki” zamówiło u mnie hasło o Miłoszu. „Ile wierszy ma liczyć to hasło?” — zapytałam. „Nie więcej niż piętnaście” — odpowiedziano. „A ile wierszy będzie miał taki wieszak, jak na przykład Putrament?” — pytał dla własnej wiadomości. Odpowiedź brzmi: „Trzydzieści”. Nie koniec jednak na tym. Jakież półtora roku temu dostaje pismo mówiące że: „rosnąca ranga poezji Miłosza — itd., itd. — zobowiązuje nas” do zwiększenia rozmiarów hasła. Napisałam kilka-żesziesiąt wierszy. A teraz informują mnie, że: „proszę się nie krepować!” No więc obecnie moje hasło o Miłoszu rozrosło się do dwustu wierszy. I jeszcze będa trzy hasła: dotyczące „Doliny Issy”, „Ocalenia” i „Ziemii Ulro”. Każde — po 25 wierszy.

MIROSLAW DERECKI: — Zupełna „wyższa matematyka” literacko-wydawnicza!

IRENA SŁAWIŃSKA: — Jeszcze dodam panu anegdotę ze sfer „wydawniczo-kolejkowych”. Przed wyjazdem do Sztokholmu byłam kilka dni we Wrocławiu. Idę któregoś dnia ulicą, zwraca moją uwagę ogromna kolejka przed sklepem papierniczo-księgarskim. Zatrzymuję się na chwilę. I w tym właśnie momencie podchodzi dziewczynka, tak na oko piętnastoletnia, i pyta z zainteresowaniem: „Proszę pani, co „rzucili”? Miłosza czy papier toaletowy?”

MIROSLAW DERECKI: — Opowiadała pani o tym Czesławowi Miłoszowi?

IRENA SŁAWIŃSKA: — Oczywiście. Nie potrafiłam sobie odmówić. Strasznie się śmiał z tej historii.

MIROSLAW DERECKI: — Chciałbym jeszcze wrócić do czasów uniwersyteckich, do jego dzia-

łalności w Sekcji Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów. Grupowała ona ludzi którzy już „parali się” pisanem wierszy czy utworów prozatorskich, i na początku lat trzydziestych znalazła się w niej wyjątkowo dużo osób których nazwiska miały się następnie utrwalic w polskiej literaturze. Późniejsi „zagaryści”: Czesław Miłosz, Jerzy Putrament, Jerzy Zagórski wywodzili się właśnie ze STO. Czy w owych studenckich czasach już jego rówieśnicy, dostrzegaliście w Miłoszu przyszłego wybitnego poe?

IRENA SŁAWIŃSKA: — Zapamiętałam Miłosza z tamtych lat jako młodzieńca chmurnego, zdystansowanego do otoczenia. Myśmy go nawet uważały — my dziewczęta — za dość zarozumiałego. Ta jego ówczesna maniera; pewność siebie, milczenie powstrzymywały z kolei wiele osób od wchodzenia z nim w bliższą zazyłość. Trzeba gwoli prawdy dodać, iż także do samego siebie odnosił się Miłosz z jakimś dystansem. Może, to wynikało również z warunków w jakich wyrastał w dzieciństwie: wychowywał się przez szereg lat w odległym od Wilna majątku, własności dziadków; ojciec, inżynier powiatowy jeździł wiele po świecie. Fascynacja latami dzieciństwa, przyroda i życiem na głębokiej litewskiej prowincji ciągle przewija się w twórczości Miłosza a przy tym owo zamyslenie, dystans, potem Rymkiewicz miał podobny „styl”. Putrament, na przykład, był zawsze hałaśliwy. I to już mu zostało na całe życie.

Trzeba także pamiętać, że Czesław Miłosz już w 1931 roku, dwa lata po wstąpieniu na uniwersytet, odbył pierwszą podróż do Francji, gdzie zetknął się z wielką osobowością poetycką Oskara Miłosza i wrócił potem do Wilna jakby o wiele dojrzalszy od swoich rówieśników. W Polsce na ogół niewiele się wie o Oskarze Miłoszu, chociaż już w 1919 roku tomik jego wierszy wraz z dramatem „Miguel Manara” został wydany w Polsce, w tłumaczeniu Bronisławy Ostrowskiej. W roku ubiegłym ukazała się u nas powieść Oskara Miłosza — „Włajemniczenie miłosne”. Dziś twórczość Oskara Miłosza przeżywa we Francji wielki renesans, jest nawet specjalne towarzystwo, które zajmuje się wydawaniem i propagowaniem jego dzieł. W Polsce przed laty poważnie interesował się wystawieniem „Miguela Manary” Juliusz Osterwa, a następnie, za czasów pracy w wileńskim radiu, Tadeusz Byrski. Niestety, nie doszło do realizacji teatralnej.

MIROSLAW DERECKI: — Na początku naszej rozmowy stwierdziła pani, że szczególnie ważny w znajomości z Czesławem Miłoszem jest dla pani okres, gdy poeta wyjechał na stałe z kraju...

IRENA SŁAWIŃSKA: — W latach pięćdziesiątych spotkaliśmy się z Miłoszem w Paryżu; wiele czasu spędzaliśmy na rozmowach, kontynuowaliśmy wymianę myśli korespondencyjnie; później, w ciągu następnych lat wiele razy spotykaliśmy się i w Europie, i w Ameryce, gdy wyjeżdżałam tam z wykładami lub w celach badawczych. Odejście Miłosza było wtedy, w 1951 roku, protestem przeciwko totalitaryzmowi, tak mocno odciskającemu się wówczas na naszym życiu i na naszej twórczości. Poza tym poeta chciał mówić pełnym głosem, pełną prawdę. Czynniono mu wtedy ostre zarzuty; nawet wielu najbliższych kolegów-poetów wypowiedziało lub napisało słowa, których pewnie dzisiaj się wstydzą. Jechał przecież wówczas Miłosz na wielką niewiadomą na wielką biedę, nie wiedząc, co go czeka. W kraju był wszak „urządzone” doskonale. Był attaché kulturalnym w Waszyngtonie, w Paryżu. Jego decyzja — jak mi się później zwierzał — była rozpacziwa; żadnych szans, perspektywa utrzymania się tylko z pióra. A z twórczości poetyckiej jest się bardzo trudno utrzymać na całym świecie, zwłaszcza na Zachodzie i w obcym kraju. I tak miało być przez dziesięć lat. Co innego, że wkrótce zaczął odnosić sukcesy pisarskie. Dopiero w 1960 roku zaproszenie Miłosza przez Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley na stanowisko wykładowcy literatur słowiańskich ustabilizowało pozycję pisarza, także finansową.

MIROSLAW DERECKI: — Przypominam sobie zwięzłą i dowcipną odpowiedź, której Miłosz udzielił w Sztokholmie dziennikarzom Polskiego Radia, gdy go „podchwytliwie” zapytali, jaką rolę odgrywa poezja w jego życiu: „To jest tak, jakby pytanie zwrócone do konia; jaką rolę w życiu pana odgrywa siano?” Zupełnie nie pasuje mi ten Czesław Miłosz do tamtego „dumnego” młodzieńca z czasów wileńskich...

IRENA SŁAWIŃSKA: — Proszę pamiętać, że im człowiek starszy, im artysta dojrzalszy, tym więcej w nim pokory.



Irena Sławińska i Czesław Miłosz w Sztokholmie

Reprod. Janusz Kolasa

MIROSLAW DERECKI: — „W czasie pobytu za granicą odbyłem — powiedział poeta tym samym dziennikarzom — wędrowkę w głąb języka, wstecz, do złoju językowych polszczyzny. W Polsce istnieje proces harmonizacji dziennikarszczenia języka, który mnie zupełnie omija [...]. polski ma kilka poziomów, jak każdy czesła słowiański język, w przeciwieństwie na przykład do francuskiego. Język francuski jest uniwersalny, służy do wszystkiego; polski ma kilka poziomów i może być: polski wysoki, polski codzienny, uliczny”.

IRENA SŁAWIŃSKA: — Miłosz od dawna walczy o czystość polskiego języka. Walczy z żargonem, który tak często i tak łatwo przenika do naszej współczesnej literatury. Powiem więcej: Miłosz walczy o czystość i dostojność języka polskiego. Żeby stworzyć rejestr — nieobecny w naszej dzisiejszej poezji (Może z wyjątkiem poezji Herberta) Rejestr języka hieratycznego, dostojnego. Taki język był wszak ongiś obecny w naszej poezji. Potem stało się tak, że — jak pisze Miłosz — „wolno nam było odzywać się tylko skrzykiem karłów, słowa jasne i czyste były zakazane”. I jeszcze mówi on: „Polska literatura to jak kaftan — krojony z jednej strony na obrzyma, a z drugiej — na karla”. A gdzie literatura na przeciętny wzrost?

MIROSLAW DERECKI: — Katolicki Uniwersytet Lubelski postanowił nadać Czesławowi Miłoszowi doktorat honoris causa. Kiedy odbędzie się uroczystość?

IRENA SŁAWIŃSKA: — O doktorat h.c. dla Miłosza walczyliśmy od kilku lat. Mówię „walczyliśmy”, bo sama decyzja uniwersytetu to nie wszystko; przyznanie takiego doktoratu obywatelowi obcego państwa — a Czesław Miłosz ma obywatelstwo amerykańskie — wymaga specjalnego pozwolenia władz centralnych. W ostatnich latach wydawano takie pozwolenia uczelniom państwowym, ale my pozwolenia dla Miłosza nie mogliśmy się doczekać. Na początku czerwca tego roku spodziewamy się przyjazdu Czesława Miłosza do Polski; najpierw odwiedzi Katolicki Uniwersytet Lubelski, przyjmując doktorat honoris causa.

MIROSLAW DERECKI: — Co jest dla pani profesor najcenniejsze w dziele Czesława Miłosza, jaki walor przede wszystkim określa jego twórczość?

IRENA SŁAWIŃSKA: — Najwartościowsza jest chyba problematyka moralna i filozoficzna jego poezji. Wyrażona w sposób bardzo prosty. Pytania o istotę bytu. Przecież w swojej „noblowskiej” mowie stwierdził, że „głównym zadaniem poety jest kontemplacja bytu”. I w jego dojrzalej, ostatniej zwłaszcza poezji, ta jego kontemplacja prowadzi do afirmacji.

W tej samej mowie „noblowskiej” określił Miłosz poeę jako „poszukiwacza rzeczywistości”. Przy czym warto zaznaczyć, że terminy „był” i „rzeczywistość” rozumie on bardzo szeroko. Bo chodzi nie tylko o świat widzialny, ale i niewidzialny; o rzeczywistość nadprzyrodzoną.

Z takiej definicji poety wynika obowiązek mówienia pełnej prawdy. To uzasadnia tak częste odesłania — także podczas wykładu sztokholmskiego z dnia 8 grudnia 1980 r. — ku historii narodu i pamięci narodowej, która zawsze stanowiła i stanowi szczególną siłę poezji polskiej.

JAN

W PIERWSZY dzień świąt Bożego Narodzenia, 25 grudnia 1980 roku, około godziny piętej po południu w lubelskim szpitalu klinicznym przy ul. Jaczewskiego zmarł Jan Popek.

Jeszcze w wigilię dzielił się opłatkiem z personelem kardiologii, a niedługo potem kolejne zawały dopadły człowieka, który liczył 38 lat i należał do najwybitniejszych malarzy swego pokolenia w kraju.

Lekarze stwierdzili, że Jan umarł na serce. Nie szanował zdrowia, dwa lata temu poważnie zaniemógł na inną chorobę, z której jakoś wyszedł, poza tym intensywnie pracował: malując obrazy i rysując, ucząc studentów Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, wykonując roboty użytkowe. Przed samymi świątami zamknął się na dwie doby w hali jakiegoś lubartowskiego przedsiębiorstwa, aby zrealizować zlecenie i mieć spokojną głowę podczas wigilii. No i to wszystko miało doprowadzić do śmierci Jana.

Ale ja nie wierzę w takie wytłumaczenie, myląc skutki z przyczynami. Znałem Jana 14 lat i wiem, że odszedł z zupełnie innego powodu: bo broniąc własnej indywidualności, był jednocześnie za bardzo otwarty wobec życia i ludzi, za bardzo przejmował się tym wszystkim, co działo się wokół niego i znacznie dalej, nawet w rejonach polityki, która zresztą budziła w nim refleksje tego rodzaju, że kiedyś szeregowi wystawnicy owej polityki powiedli Jana w miejsce odosobnione, ścinając mu włosy na głowie do gołej skóry — w rewanżu za komentarze kierowane do świata przez autora „Niewolnika szczęśliwego”.

Taki był Jan już podczas studiów na Wydziale Malarstwa i Grafiki warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, którą ukończył w 1967 roku. Mieszkał wtedy w domu akademickim stołecznych szkół artystycznych „Dziekanka” przy Krakowskim Przedmieściu, zupełnie blisko ciasnej, lecz głośniejszej winiarni „U Hoppera”, która odpłynęła już w przeszłość razem z legendą 1968 roku, choć Hamilton z wyjątkową zjadłością sprzeciwiał się likwidacji przybytku. Spore zamieszanie panowało wówczas w sztuce, więc chłopcy z „Dziekanki” wariowali czasami dosłownie, albo na oczach z lekka tylko zaciekawionych kolegów ucinali sobie palce tasakami, czy też rozbięli szafy na części. Takiego śmietnika, jaki wypełniał pokoje akademika za monumentem Mickiewicza, nie spotkałem później w żadnym domu studenckim w kraju.

Jan, owszem, aktywnie uczestniczył w życiu towarzyskim środowiska, ale w jego pokoju panował ład prawie konstruktywistyczny. Gospodarz chętnie zapraszał ludzi do siebie, ale kto raz zaneczył lokal, ten nigdy go już nie mógł odwiedzić.

To pragnienie ładu ujawniało się jednak przede wszystkim w twórczości Jana, który tygodniami potrafił ślezczyć nad linearnie wyciąganymi rysunkami

o treściach z reguły bardzo osobliwych, ale zawsze prowadzących do konkretnych ludzi czy wydarzeń: choćby zdaniem czy pojedynczym imieniem, wpisany w delikatne warstwy tych unikalnych dziś kompozycji. Bywało też, że Jan przywoływał na plansze graficzne pejzaże — częściej kulturowe, niż naturalne — z okolic Zamościa i Tomaszowa Lubelskiego, a więc z terenów rodzinnych. Twórczość Jana od początku powstawała z realnych powodów, była konieczna forma zapisu osobliwych i społecznych doświadczeń artysty, a nie celem samym w sobie, jakimś wyspekulowanym światem badań nad formą, metodologią postrzegania czy dekoracją.

Po studiach Jan pojechał do Zamościa, gdzie kończył niegdyś liceum plastyczne a teraz sam zaczął nauczać. Zbyt młody okazał się jednak dla tego katorżniczego fachu, no a poza tym urządził wystawę, na której pokazał „jakieś gole baby” — jak rozgłosiły parafianki. Osiadł więc w Lublinie, gdzie z czasem otrzymał pracownię w osiedlu Słowackiego LSM.

Do tego miejsca zaczęli szybko ścigać różni ludzie: krytycy sztuki i malarze, filozofowie i dziennikarze, architekci i poeci, abstynenci (rzadziej) i trunkowi, ludzie starzy i młodzi, zwyczajni i ludowa elita. U Jana zawsze można było spotkać kogoś interesującego, wartego rozmowy o sztuce i polityce, o dziewczynach i obietnicach ekonomicznych nowej ekipy. Pamiętam do dziś prorocze zdanie pewnego filozofa, wypowiedziane w 1971 roku: od-



Fot. W. Stępień

suwają na bok ideologię, biorą się za konsumpcję, ale jeśli coś w gospodarce nie wyjdzie, to będzie, o! będzie zamieszanie!

Jego żonę Małgosię bardziej, ale i Jana samego męczyły te wielogodzinne posiedzenia. Żyć bez nich jednak nie mógł.

A trzeba jeszcze wiedzieć, że ta ciasna pracownia była zarazem miesz-



Fot. J. Kozioł

kaniem artysty i jego trzyosobowej wówczas rodziny.

Głupkowate byłoby przecież stwierdzenie, że „w takich warunkach artysta znajdował jeszcze czas na twórczość”. On wszystko bowiem próbował przemienić w sztukę. W płaskim, plakaturowym, opartym na ostrych kontrastach kolorystycznych malarstwie Jana pojawiały się prawie wyłącznie przedmioty pospolite: śruby, zakretki, odkurzacze, pudełka z proszkiem do prania, paczki z tytoniem „Amphora”, celulozowe laleczki, znaki drogowe, pojedyncze litery anatomiczne, fragmenty ciała ludzkiego, pasy transmisyjne. Z tych trywialnych rekwizytów budował metafory wyjątkowo atrakcyjne pod względem wizualnym, czego przykładem „Canon na orkiestrę symfoniczną i taśmę magnetofonową wg K. Pendereckiego” i „Śmietnik świata”. Wielokrotnie też podejmował motyw krzesła, które zazwyczaj zamieniał na przedmiot nie nadający się do siedzenia, satysfakcjonujący co najwyżej jakiegoś wielce wyrafinowanego masochistę. Na jednym z „Trzech krzesel” z 1972 roku Jan umieścił dodatkowo napis: „Made in Poland”.

Nie stronił również od specyficznej autokreacji: w okresie bledowania chadzał w haftowanych serdakach, kiedy zdjęto mu włosy z głowy, oddał się pielęgnowaniu imponującej brody.

Kiedy zdobył wreszcie przyzwoite mieszkanie z pracownią przy ul. Pana Balcera, nie zamknął drzwi do niego przed ludźmi, choć może powinien je przynajmniej przymknąć. Pod tym względem nie zmienił się.

Ale zmieniło się malarstwo Jana. Opuściły je dotychczas malowane przedmioty, kompozycje nabrały głębi, wyraźnie złagodniał erotyzm obrazów, tak ostentacyjny we wcześniejszych pracach, pojawiła się pewna skłonność do tzw. malarstwa rozwiązań i refleksyjności, a może smutek. W 1976 roku na wystawie w lubelskim BWA pokazał prace o takich na przykład tytułach: „Biuro wiecznego oczekiwania”, „Zadziwiający wykop”, „Ziemia jałowa”, „Zal mi Zamościa”, „Zła godzina” oraz „Ziemia na moją głowę” — obraz z autoportretem, o nazwie przypominającej napis wyryty na jednym z grobowców cmentarza przy ul. Lipowej: „Proszę o pięć fur ziemi na każde ciało”, i znajomy chyba Janowi.

Na tej wystawie znalazło się ponadto „Epitafium dla Benia”, czyli Eugeniusza Wygowskiego, który mieszkał w „Dziekance” jakieś 30 metrów od pokoju Jana, sypiał i chadzał w kufajce, a niedługo po uzyskaniu dyplomu warszawskiej Akademii opuścił świat z własnej woli, w lipcu 1973 roku, mając 36 lat. Zaprzyjaźniony niegdyś z Benią, w jego czasach lubelskich, kiedy zwał się jeszcze Johnsonem — wdzięczny byłem Janowi za ten dowód dobrej pamięci o artyście nieprzeciętnym, choć przed śmiercią zdażył on zrealizować tylko jedno dzieło: gipsowe odlewy własnej i żony Marii postaci, przymocowane do desek i przykryte tiulową zasłoną. A poza tym, biorąc pod uwagę jakości warsztatowe „Epitafium” odnotowałem tylko, że znany już w kraju artysta zaczyna malować inaczej, niż dotąd. Jan zaś pojechał na kolejny plener, urządził następną wystawę, odebrał jeszcze jedną nagrodę.

Później Jan przeziębził płuca i długo się leczył. Wyszedł jakoś z tego, wrócił do zajęć uniwersyteckich, chętnie zajął się redakcją graficznego almanachu „Akcent”, znów malował, rysował, pisał.

Tymczasem dotarła do Lublina wiadomość o śmierci Jerzego Zielińskiego — „Jurrego”, znanego malarza Janowego pokolenia, który w „Dziekance” mieszkał jeszcze bliżej pokoju autora „Tryptyku dla Małgosi”, niż Benia. Jerzy od dawna nie miał serca do życia, a śmierć znalazł w kolejnej, lecz tym razem nieudanej wspinaczce po fasadzie budynku w którym znajdowała się jego pracownia na Pradze. Zdażył jeszcze namalować takie obrazy, który trafiły do muzeów.

Niedługo potem Jan urządził dwie wystawy indywidualne, ostatnią w październiku 1980 roku w zamojskim BWA. Pokazał na nich m.in. „Epitafium dla Benia” oraz małe, ciche, monochromatyczne, pełne pokory malowane wspomnienia z miejsc rodzinnych, w niczym nie przypominające dumnych „Skrzypiec dla Aldony” czy „Portretu Agnieszki” z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych.

I odszedł.

Ireneusz J. Kamiński

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórnego i Jana Smolarza. Red.

JAN TETTER

URODZIŁEM się 10 kwietnia 1935 roku we wsi Rudno w województwie chełmskim. Naukę w szkole średniej rozpocząłem w Chełmie, w gimna-

zjum im. Czarnieckiego. Jednakże od klasy 9-tej już pracuję zawodowo, kontynuując naukę w liceum dla pracujących. Po maturze rozpocząłem studia na UMCS w Lubli-

nie na Wydziale Rolnym, wkrótce wyodrębnionym wraz z dwoma innymi wydziałami w WSR. W roku 1958 ukończyłem studia, podejmując pracę w Wojewódzkim Rolniczym Ośrodku Naukowo-Doświadczalnym jako asystent, wkrótce jednak przechodzę do pracy w dziennikarstwie, konkretnie w redakcji „Sztandaru Ludu”.

Jeszcze w okresie studiów publikuję w „Kamieniu” dwa opowiadania: „Domy-pudełka” i „Mój ojciec”; jest to rok 1956/1957, co uważam za datę swego debiutu literackiego.

Okres dziennikarstwa, zwłaszcza tego intensywnego dziennikarstwa, wpłynął niezwykle niekorzystnie na ilość i jakość mojej twórczości literackiej, toteż w pierwszych pięciu latach prawie nie kontynuowałem swojej pracy literackiej i dwa opu-

blikowane młodzieńcze opowiadania, noszące wszelkie niedostatki utworów debiutanckich, na długo pozostały moimi jedynymi utworami.

Po pięciu latach następuje przerwa w moim dziennikarstwie, powracam do intensywnej pracy literackiej, piszę słuchowiska radiowe, gatunek podówczas bardzo poszukiwany, publikuję je w Polskim Radiu Gdańsk i Poznań. W roku 1964 — pierwsza książka, zbiór opowiadań, do którego żadne z opowiadań debiutanckich nie weszło.

W roku 1961 na skutek niesprzyjających układów redakcyjnych w „Sztandarze Ludu” opuszczam Lublin, do którego już nie powracam...

Cudowna melina

Dokończenie ze str. 1

I było w „Życiu”, w dużych fragmentach, inauguracyjne przemówienie ministra J. Tejcmy. Ciepłe, mądre, ostrożne, bez obietnic, przypięte jedynie kilkoma dyskretnymi ostrzeżeniami. A także fragment przemówienia przedstawiciela warszawskiej „Solidarności”, robotnika o twarzy Fidela Castro. Powiedział jedno z mądrzejszych zdań, jakie przyszło mi usłyszeć na tej sali: „Nam nie trzeba demokracji. Nam potrzebna demokracja”.

Niestety, tytani pióra nie dali posłuchu robotarzowi, choć obłudnie bili mu brawo. Zrozumieli go dość opacznie: przez dwa dni z furją wymachiwali mieczem demokracji, wiedząc przy tym doskonale, że demokracja to stan, a nie miecz czy brzytwa przy gardle przeciwnika...

Na początku powiało od razu sensacją: nie ma Putramenta! Nie został delegatem, to wszyscy wiedzieli. Ale że nie przyszedł na obrady jako członek rozliczanego z trzech lat zarządu? Oczywiście w pogłoskę, jakoby był tego dnia wyjątkowo niedysponowany, sala gotowa była uwerzyć dopiero wówczas, gdyby go wniesiono na marach. Pomyśleć tylko: w liczącej 79 osób delegacji środowiska warszawskiego nie zmieścił się Jerzy Putrament, uczestnik wszystkich dwudziestu zjazdów, człowiek, który osobiście znał Bie-rutę, Gomułkę, Gierkę, Andrzeja Brauna i Władysława Bartoszewskiego, nie licząc całego legionu innych większych i mniejszych sław.

Po oficjalnych z miejsca rozgorzały kilkugodzinne spory proceduralne. Brylowali w nich, świetnie tego dnia dysponowani, wytrawni ordonownicy demokracji, oczywiście demokracji miecza. Każdy z nich zresztą po kilka lub kilkanaście razy zabierał głos, gdy kilkadziesiąt innych delegatów zapisanych do dyskusji daremnie oczekiwało na kolejną przez całe dwa dni. Stanie się to w pełni zrozumiałe dopiero wówczas, gdy powiem, że był to w istocie zjazd kilkunastu liderów pewnej zwartej frakcji środowiska warszawskiego, mających do zatwierdzenia, pod protektorem nadzwyczajnego zjazdu ZLP, cały pakiet konkretnych spraw politycznych. Rekord wystąpienia pobili kolega Leszek Prok, lecz była to formalna konieczność, gdyż jest on jedynym w ZLP znawcą statutu tego związku i prężyć ogarnia na myśl o tym, co będzie, gdy kiedyś zabraknie tego meża opatrnościowego Związku Literatów Polskich!

W całej dwudniowej batalii gra toczyła się o przejęcie władzy w Związku, a zatem gra polityczna o władzę polityczną, bo przecież żadna inna dziedzina sztuki nie tkwi swoimi korzeniami w polityce tak mocno jak literatura.

I był to zjazd osobliwej zemsty. Nie wystarczyło już zwycięstw. Żądano zemsty i upokorzeń. I osiągnięto je. W sytuacji, gdy główne buławy związkowe zostały rozdane na długo przed zjazdem, a przegłosowanie proponowanej listy członków nowego zarządu było jedynie formalnością — w tej sytuacji dyskusja skoncentrowała się głównie na sprawach odwetowych. Żądano satysfakcji, rehabilitacji, publicznych sądów czarownic, prawdy o 68 roku, o przesładowaniach Żydów w 68 roku, prawdy o 56 roku. Ktoś wtedy nieśmiało wtrącił, że skoro mamy robić rachunek sumienia z całego powojna, to upomnijmy się również o akowców z lat 50-tych. Przemleczano go, jakby mówił od rzeczy. Krwawy Grudzień 1970 także nie stanowił godnego kontrpunktu dla bezkrwawej „rewolucji 68”, ani dla Radosia 76. Dlaczego?

Był to więc polityczny i zarazem rozprawa sądowa. Przez cały ten czas literatura błąkała się gdzieś po kątach, zarumieniona ze wstydu ofiara trwającego dziesięć lat „raptus puellae” na której, dla dobra śledztwa, wielokrotnie dokonywano teraz

publicznego badania ginekologicznego. Gwałtowność filipik politycznych rzadko ustępowała miejsca wypowiedziom pozbawionym politycznego jadu, zatroskanym sprawami samej literatury. Te ostatnie brzmiały czysto, rzeczowo, uczciwie, ale pozbawione krzykliwej argumentacji i frazesów z klasycznego arsenału politycznych graczy — przemijały nagle, anemicznie. **Dokonywała się zdumiewająca metamorfoza i niewia-**



Rys. Z. S. Pytlík

rygodna konwersja bolesnych dla polskiej świadomości słów i znaczeń: nietolerancja, szowinizm, rasizm, nacjonalizm!

Ale żadne z tych słów ani razu nie padło z trybuny zjazdu. Kto bowiem mógł zdobyć się, samobójczo wobec owej potężnej symfonii, na dysonans tej miary? Na konflikt z tą cudownie zgraną orkiestrą, w której cele, postawy i ich historyczne uwarunkowania osiągnęły idealną polifonię? Literatura, a zwłaszcza jej życie związkowe stały się tą „cudowną meliną” — że posłużyć się tytułem pewnej zakazanej książki — w której wszystko jest możliwe, wszystkie chwytły dozwolone i każdy tekst, upozorowany na tekst literacki, lecz politycznie zgodny z celami orkiestry, staje się przepustką do historii literatury.

Ale myśmy pracowicie użyźniali im grunt i mościłi wnętrze tej „cudownej meliny”. Myśmy — to znaczy kto? Ano wszyscy (w tym również niektórzy pisarze) mający jakiś udział w budowaniu imperium nieprawdy, w utrwalaniu owej dekady upadku społecznego, gospodarczego i kulturalnego. To myśmy wspólnie ułożyli program dyskusji na XXI zjeździe literatów, myśmy dostarczyli argumentów, myśmy ułożyli też dekalog słusznych żądań dziennikarzy, nauczycieli, robotników Świdnika, stoczniowców Gdańska i Szczecina, górników Jastrzębia. Jak okiem sięgnąć — nieprzebrane bogactwo argumentów i atutów dla liderów „cudownej meliny”, argumentów nie do zbitcia, oczywiście, powszechnie akceptowanych przez społeczeństwo bez względu na różnice postaw, światopoglądów, wykształcenia, stanu świadomości politycznej.

W słabości tkwi siła tych, których teraz nie można nawet nazwać po imieniu, bo podniósłby się wrzask od Wiednia po Nowy Jork, zaś eufemizmy w rodzaju: „opozycja”, „dysydenci” czy „elementy antysocjalistyczne” są — po pierwsze — wysławiane, po drugie — zupełnie nieadekwatne dla uściślenia tych, którzy od 29 grudnia zdominowali życie ZLP. Bo przecież opozycję stanowił przed miesiącami niemal cały naród, dysydentami byli wszyscy co odważniejsi, a teraz „elemen-

tami antysocjalistycznymi” nazywa się zbyt rozległą grupę ludzi, podczas gdy od początku idzie o „duchową rodzinę” tych, którzy są nie tyle przeciw socjalizmowi, co przeciwko wszystkiemu, cokolwiek stał na przeszkodzie do ich rzeczywistej dominacji. Więc jak ich w końcu nazwać, żeby było trafnie, i żeby nie podniósł się wrzask od Wiednia po Nowy Jork? Jakże były korzenie „wydarzeń 68 roku”, o których rewindykację tak się teraz upominają? Profesor A. Schaff podobno dusi w szufladzie książkę o tych wydarzeniach, więc zapewne rację ma M. Moczar, gdy zachęca do jej wydania. Poczytajmy. Zobaczmy, jak było. A może nie tak, jak widzi to profesor Schaff? „Ten pociąg odjeżdża do Trebłinki” — podobno krzyczano podczas odjazdu Arnolda Śluckiego, świętego poety. Ci, którzy wtedy tak krzyczeli, są tymi samymi, którzy w biuletynach KOR-u w ostatnich latach, a teraz publicznie i bezpiecznie, wrzeszczą o potrzebie „prawdy o wydarzeniach 68 roku”. W końcu trzeba im dać tę satysfakcję i powiedzieć społeczeństwu, jak to było naprawdę.

Zjazd był precyzyjnie zorganizowaną demonstracją polityczną, świetnie do tego celu wykorzystanym najwyższym forum środowiska do przeformowania istotnych zmian w statucie ZLP. Ich kierunek jest jasny — zapewnienie całkowitej dominacji personalnej i merytorycznej w obecnej i następnych kadencjach. Temu celowi służy m.in. zmiana w statucie, polegająca na odebraniu prezesom oddziałów terenowych prawa głosowania na posiedzeniach Zarządu Głównego. W rezultacie nie będą mogli np. głosować za przyjęciem do ZLP kandydatów ze swoich oddziałów, ani też głosować przeciw przyjmowaniu tych kandydatów, których upatrywa sobie komisja kwalifikacyjna pod batutą kolegi Kijowskiego.

Zasadniczym motywem do zatkania ust prezesom oddziałów było przekonanie autorów poprawki statutowej, że prezesami zostają na prowincji ludzie bezwolni, ludzie z nominacji, awansu społecznego i politycznych manipulacji. Dotychczasowi prezesi byli w zdecydowanej większości członkami partii, czyli — ludźmi siłą rzeczy manipulowanymi, podporządkowanymi, pozbawionymi indywidualności. Oto znakomicie demokratyczny i niezwykle trafny ciąg myślowy kodyfikatorów statutu ZLP!

Lecz żaden z nich, szeroko uzasadniając na zjeździe konieczność ubezwłasnowolnienia prezesów, broń Boże nie powołał się na te argumenty. Motywowano... niesprawiedliwością w obowiązującej dotychczas strukturze władz i uprawnień w Zarządzie Głównym, zakiepaną na ponurym zjeździe w Bydgoszczy. A więc tym, że na członka ZG, wybranego w oddziale warszawskim delegatem na zjazd, głosuje kilkadziesiąt wyborców, a na takiego samego członka ZG — prezesa niewielkiego oddziału — zaledwie kilkunastu ludzi.

W tym rozumowaniu dyskretnie pominięto fakt, iż prezes nawet najmniejszego oddziału reprezentuje potężny teren o powierzchni kilku województw. Spójrzmy oto na listę członków nowego ZG. W liczącym około 35 osób gronie jest tylko dwóch czy trzech pisarzy ze wschodniej części Polski — przyjmując za granicę linię Wisły. Prawie połowa kraju jest więc białą plamą we władzach środowiska pisarskiego. **Wspaniali majstersztyk!**

Dla odmiany, od członków oddziału warszawskiego aż gęsto w Zarządzie, który szacunek do terenu oczywiście odzyska natychmiast, gdy przyjdzie do organizowania chałtur w tak personalnie ogoloczonej Polsce B, albo do pozyskania jej literatów do akcji mających na celu tzw. jedność Związku, czyli firmowanie imieniem całego środowiska kolejnych akcji politycznych. **Powodzenia!**

Na czystą kpinę wyszło w tej sytuacji, niestety czytelnicy nie dla wszystkich delegatów, powołanie funkcji czwartego wiceprezesa ZG „do kontaktów z terenem”, który, krótko mówiąc, ma wypełnić dziurę powstałą w organizmie związkowym. Dla przykładu — w ciągu ostatnich 8 lat w oddziale lubelskim pojawił się tylko raz przedstawiciel ZG, pół-prywatnie zresztą. Teraz zastąpi go fruwiąjący po 16 oddziałach wiceprezes.

Szło w propozycjach statutowych także o rozbięcie dotychczasowej „koalicji” prezesów oddziałów, o zmuszenie ich do odejścia przez wprowadzenie do statutu poprawki ograniczającej pełnienie tej funkcji tylko do dwóch kadencji (6 lat). Projekt upadł, co było dość zaskakujące, ale zrozumiałe w kontekście innej propozycji, dotyczącej ograniczenia (również do dwóch kadencji) pełnienia funkcji w ZG. Projektodawcy bowiem spostrzegli, że kilku z nich musiałoby odejść za trzy lata, bo siedzą w ZG już jedną kadencję. Szkoda, że nie przegłosowali obydwu poprawek. Wielka szkoda.

Finałem efektownego zwycięstwa doskonale tego dnia dysponowanych liderów „duchowej rodziny” stała się reakcja na wystąpienie Andrzeja Wasilewskiego (przedrukowane w „Trybunie Ludu” 8 I). Kiedy dojechał do zdania: „W istocie przyczyną niepokojących deformacji w życiu naszego Związku jest to, że od dziesięcioleci stał się on areną wyzucia ambicji nie tyle literackich, ile politycznych, drogą dochodzenia nie tyle do większej literatury, ile do większej władzy nad literaturą” — przerwano mu ordynarnym chrząknięciem. Wybuchło zamieszanie, podważał się do uciszenia przewodniczący Zjazdu, Artur Międzyrzeczki. Rozumieniem wściekłość chrząknął. Cios był celny, definicja lodowato trafna. Kiedy Wasilewski skończył, Artur Międzyrzeczki niewinnym tonem zapytał, czy kolega Wasilewski wystąpił we własnym imieniu, czy w imieniu partyjnych pisarzy. Wasilewski odpowiedział, że wystąpił w imieniu pisarzy partyjnych. Wtedy stało się coś, czego nie oczekiwano nawet „rodzina duchowa”. Wstał towarzysz Witold Zalewski, podszedł do mikrofonu i spokojnie oświadczył, że to nieprawda, z grupą pisarzy partyjnych kolega Wasilewski niczego nie uzgadniał i było to jego prywatne wystąpienie. Witold Zalewski otrzymał od kolegów, których przed chwilą opanował wściekły atak astmy, burzliwe brawa. Veni, vidi, vici!

Wasilewski, szef potężnego wydawnictwa i niekoronowany przywódca pisarzy partyjnych, popełnił błąd, ale dokonał obiektywnego przeglądu całej gry i wykladnił sił na sali i na scenie związkowej. Wspomniał o odrzuceniu przez „nieformalną grupę nacisku” (coż za eufemizm!) formuły koalicyjnej władz ZLP. Tu jednak coś mi się nie podobało. Jakaż to ma być koalicja? Kogo z kim? Komu, i dlaczego pisarze polscy mają oddać połowę mandatów związkowych, aby trwać w koalicji, czyli w równowadze sił? Czyżby linia demarkacyjna ciągle miała przebiegać między „nieformalną grupą nacisku”, a partyjnymi członkami związku? Jeśli tak, to co w końcu zrobić z najliczniejszą, choć politycznie bierną, kibicującą walce, grupą centrum? Czy po pierwsze — jej interesów ma bronić tylko grupa partyjnych pisarzy i — po drugie — czy partyjni pisarze muszą koniecznie i zawsze stać jakoś tak obok tej olbrzymiej, decydującej o stanie i losach literatury polskiej — grupy centrum?

I wreszcie po trzecie — o czym wie każdy literat — gra o władzę w Związku Literatów Polskich wcale nie kończy się w samym Związku. Prawdziwa i ostatnia batalia dopiero się zaczyna. Jest to batalia o prasę literacką i społeczno-kulturalną, o wydawnictwa i ekrany telewizyjne. Na zjeździe można się nagadać, ile dusza zapagnie, ośmieszyc i rozdeptać przeciwników, rozdać buławy, ale uczynić z literatury „cudowną melinę” nie uda się bez tych trzech potęg. Hannibal dopiero rzeze portas.

Henryk Pająk

Kamena str. 5

GDY słuchałem go tego wieczoru, pamiętam obecność, dystans i niemal cud życia czarnych służących w moim domu, którzy też opowiadali nam różne historie, gdy byliśmy dziećmi. Te opowieści służących także dotyczyły ich życia — małżeństw i przygód, farmerów, u których wcześniej pracowali, i ich braci, którzy zbiegli do kopalni i zginęli w wypadkach, dotyczyły miejsc, których nigdy nie widzieliśmy. Siadywaliśmy wieczorami w kuchni, lub na ziemi z tyłu podwórka, gdzie nie nie rosło, a piach rzucał czerwony odbłask na nasze palce, i w słoneczne popołudnia, gdy słońce świeciło z absolutnie czystego, błękitnego nieba, gdy powietrze było przejrzyste, słuchaliśmy bez znużenia i zaangażowania tych opowieści naszych służących, obcych, czarnych ludzi, których język — nawet drugi język — nie był naszym językiem, których życie spotykało się z naszym w sposób, jakiego nie potrafiliśmy zrozumieć, ale po prostu akceptowaliśmy, tak, jak akceptowaliśmy przejrzyste powietrze. I już wtedy budziło się w nas pierwsze zakłopotanie poczucie winy i litości, które miało później prześladować nas i napędliać wstydem we własnym kraju.

Cztery lata przed naszym przybyciem do Mirredal Józef porzucił służbę u pani Fletcher. Nie szukał przyczyny, nie chciał też poprawić swojej sytuacji, bo nie ma żadnego sposobu dla Murzyna-analfabety na poprawienie sobie życia. Nie szukał także lepszego pana, bo nie skarżył się na traktowanie pana czy pani Fletcher, lub Nasiego, który wtedy mieszkał jeszcze w domu. Odszedł po prostu pod wpływem jakiegoś impulsu, pakując w worek swoje rzeczy, mówiąc Fletcherom, że chce odejść, i wsiadając w pociąg do De Aar — tam gdzie szynny kolejowe biegnące z północy na południe krzyżują się z linią biegnącą na zachód do Afryki Południowo-Zachodniej i na wschód do wybrzeża w Porcie Elżbiety. Pracował na górkach rozrządowych. Była to ciężka i gorąca praca. Ale pozostał tam najpierw przez sześć miesięcy, potem przez rok, i przez półtora roku. Aż pod koniec osiemnastego miesiąca pracy na górkach rozrządowych w De Aar doszedł może do wniosku, że zobaczył już dość świata.

Powrócił i dowiedział się, że jego siostra zniknęła. Zniknęła tak samo jak on przedtem — nagle, nie zostawiając żadnej wiadomości. Była jedynym członkiem z jego bezpośredniej, żyjącej rodziny; ojciec i matka, jego bracia, wszyscy zmarli. Zostali tylko we dwoje z siostrą i oboje pracowali u Fletcherów. Siostra pozostała u nich po odejściu Józefa. Przez cały czas swojej nieobecności Józef nie słyszał nic o niej, choć sam wysłał jej list z De Aar. List ten informował siostrę o tym, że Józef pracował na kolei w De Aar. Napisany był dość formalnym stylem i miał krótką treść, bo pisarz, którego Józef najął do napisania listu, brał opłatę w zależności od długości i nie zezwalał na żadne odchylenia od swego standardowego stylu i wzorca.

Gdzie była jego siostra? Dokąd poszła? Józef pytał panią Fletcher, bo zaskoczony był zarówno odejściem siostry jak i brakiem jakiegokolwiek wiadomości. A jeszcze bardziej tym, że po odejściu nie napisała do niego, gdzie w tej chwili przebywa. Zapytał panią Fletcher i otrzymał szorstką odpowiedź, że ona nie wie. Korzystając z obecności Józefa, dodała też kilka uwag o niewdzięczności kadrów za względy, jakie im okazywano, o ich gotowości odejścia, gdy tylko sądzili, że mogą poprawić sobie życie, i o ich braku uważania na czas służby u jednej pani czy jeszcze nawet u jej ojca.

Józef pytał też służących w domu o cel podróży siostry, ale oni niczego nie wiedzieli. Dowiedział się jednak, że siostra zrezygnowała z pracy nie pod wpływem jakiegoś niespodziewanego impulsu, ale dlatego, że spodziewała się dziecka. Było to coś, co pani Fletcher pominęła, jako szczegół, w swojej tyradzie, choć bez wątplenia jej ogólniki o niemoralności do tego się odnosiły. Po pewnych poszukiwaniach Józef znalazł w pobliżu Mirredal kobietę, u której siostra zamieszkała, aby urodzić dziecko po odejściu od Fletcherów. Było to, jak się wyraziła, złote dziecko. Mała dziewczynka. Nie afrykańskie dziecko, ale takie, którego ojciec był albo białym, albo mieszane.

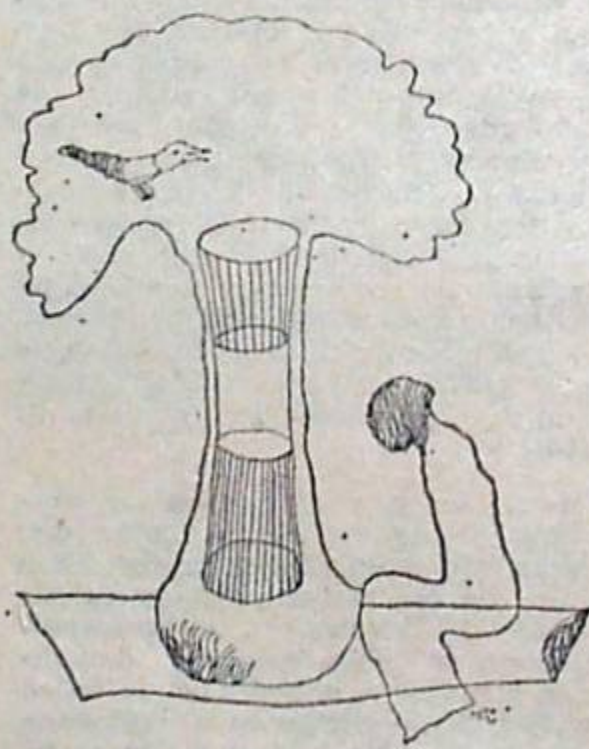
Pod koniec opowiadania kobiety Józef spytał, czy ona zna miejsce, do którego udała się siostra. Kobieta wie-

działa — siostra Józefa odeszła do swojej ciotki, która mieszkała we wsi odległej o jakieś czterdzieści — pięćdziesiąt mil od Mirredal. Odjechała kilka tygodni po urodzeniu dziecka, zabierając je ze sobą oraz tobolek z ubraniami i całym skromnym dobytkiem. Jak odjechała? — spytał Józef. Aie tego kobieta już nie wiedziała. Powiedziała tylko, że jego siostra odjechała w południe, podwieziona do Mirredal przez właściciela osłego zaprzęgu. Nie wiedziała, czym pojechała dalej. A ten właściciel osłego zaprzęgu? Pochodził z jeszcze innej wsi, odległej o pięćdziesiąt mil od Mirredal, i akurat przejeżdżał wtedy tego dnia, kiedy siostra miała wyjechać. To był obcy — powiedziała kobieta — może tak jak ojciec dziecka?

Miał już przynajmniej jakiś cel, adres, do którego mógł próbować dotrzeć. Chciał dowiedzieć się, co się stało z jego siostrą i z dzieckiem, a

także co się stało przed narodzeniem dziecka. Chciał dowiedzieć się, kto był ojcem, nie po to, aby domagać się naprawienia wyrządzonej krzywdy, zmuszając niechętnego mężczyznę do odpowiedzialności i uznania swej winy, nie podobnego. Ale chciał wiedzieć. Tak samo, jak interesował się tym, jak powodziło się jego siostrze. Poszedł zatem do wsi, w której mieszkała ciotka. Przeszedł czterdzieści mil po nagim wldzie w ciągu dwu dni, spędzając noce w chatkach Murzynów u mijanych po drodze farmerów i pod koniec drugiego dnia doszedł do farmy, gdzie mieszkała ciotka i pracowała dla białego.

Spytał ją, czy jest u niej jego siostra. Nie, odpowiedziała. Jego siostra była u niej wcześniej, ale potem odjechała pociągiem, mówiąc, że jedzie do Kapsztadu. Czy zabrała ze sobą dziecko? — spytał Józef. Jakie dziecko? — spytała z kolei ciotka. Józef



Rys. E. Inglot

odpowiedział ostrożnie, że powiedział mu, iż siostra opiekowała się dzieckiem, sierotą z farmy, na której pracowała, ale widocznie to jakaś pomyłka i historia nie była prawdziwa.

Powrócił do kobiety, u której mieszkała siostra. Czy te wszystkie historie, spytał, były prawdziwe? Czy siostra wzięła dziecko i powiedziała, że pojedzie do ciotki? Tak, potwierdziła kobieta. Sama widziała, jak siostra z dzieckiem wsiadali na wózek tego obcego i odjeżdżali. Z jakiej wsi pochodził ten obcy? Kobieta nie wiedziała, ale podała Józefowi nazwisko jego kuzyna z Mirredal. Potem koniecznie chciała się dowiedzieć, dlaczego Józef zadawał jej te pytania. Czy stało się coś złego? Czy jego siostra nie dotarła do ciotki? Gdzie była siostra? Gdzie było jej dziecko?

Człowiek, którego nazwisko podano Józefowi, wiedział, skąd pochodzi właściciel osłego zaprzęgu. Podał Józefowi jego nazwisko i nazwę wsi, gdzie tamten mieszkał.

Trzy dni zajęła Józefowi wędrowka do wsi tego obcego, który podwoził siostrę. Po jego odnalezieniu okazało się, że on także pamiętał dokładnie, jak podwiózł do Mirredal kobietę z

małym dzieckiem. Czy pojechali z nim dalej? — spytał Józef. Nie, odparł tamten. Wysadził ich naprzeciw hotelu „Mirredal”, przy werandzie „Mirredal General Trading Stores”, gdzie kobieta powiedziała mu, że ma kupić jakieś rzeczy. Nie widział jej więcej, bo od razu odjechał — miał długą drogę powrotną do domu. Tak, zgodził się Józef — wiedział, że droga była długa. Człowiek spytał wtedy o swego kuzyna, którego Józef widział kilka dni wcześniej, i poruszył sprawę kóz. Twierdził, że jego kuzyn spłacił połowę zwierząt i odmówił spłacenia pozostałych pięciu, twierdząc, że dług był bezpodstawny. Ale jeśli dług był fałszywy, człowiek spytał Józefa, to dlaczego kuzyn przyznał się do zadłużenia na połowę i ją spłacił? Józef nie potrafił odpowiedzieć.

Pod koniec tego tygodnia ostrożnych i niepewnych poszukiwań Józef ustalił, że wszystkie dzieci w wieku, w

jakim byłoby dziecko jego siostry, miały ustalone pochodzenie; nawet najgorszy podrzutek czy sierota, lecz nie było między nimi dziecka siostry. Józef spędził następny miesiąc, chodząc do wszystkich farm w okręgu, w których mieszkały jakiegokolwiek znajome siostry, mając nadzieję, że mogła ona zboczyć z drogi do ciotki i zostawić dziecko u przyjaciół.

I znowu powrócił do Mirredal, jak już to miało miejsce dwukrotnie przed rozpoczęciem poszukiwań, przed tymi wszystkimi dniami i nocami wędrowki po nagim wldzie, powrócił z tym, co wiedział już wcześniej — że siostra opuściła okolice Mirredal z dzieckiem i przybyła do ciotki bez dziecka. Jeszcze raz poszedł do wsi ciotki tylko po to, aby upewnić się, że siostra wybrała się właśnie do Kapsztadu i spytać o jakieś wskazówki, co zamierzała tam robić po przyjeździe. Tym razem pretekstem było to, że sam chciał jechać do Kapsztadu i że chciał zobaczyć się z siostrą po przyjeździe. Ciotka bez wahania potwierdziła to, co już powiedziała za jego poprzednim pobytom. Siostra wyraźnie oświadczyła, że jedzie do Kapsztadu i ciotka odprowadziła ją osobiście na stację do pociągu.

Wracając od ciotki do Mirredal, wydał niemal ostatnie grosze i podejmował się po drodze różnych prac, co przedłużyło podróż z dwu dni, jak za pierwszym razem, do ponad tygodnia. Tydzień wędrowki i kopania. Gdziekolwiek bowiem zobaczył przy drodze kawałek ziemi, który wyglądał, jakby niedawno był ruszany, rozgrzebywał go niesioną przez siebie łaską tak głęboko, jak ziemia była ruszona. Gdziekolwiek spotkał kępę młodych kolczastych krzewów, tworzących barierę wokół kręgu ziemi, wchodził w nią i rozglądał się starannie, czy nikt ostatnio tu nie kopał. Nie mógł zbadać całego kraju, ale był w stanie przeszkadzać drogę, którą musiała iść jego siostra, wędrując do ciotki, i dokonał tego, wracając powoli do Mirredal.

Musiał teraz poprosić o pomoc białego człowieka. Człowieka, który umiał pisać, który miał samochód, który rozmawiał z policjantami, mówiąc im po imieniu, który umiał pisać listy, wysyłać telegramy, telefonować; człowieka przygotowanego do życia w świecie zbudowanym przez swoich ojców, który on sam z kolei miał dalej rozbudowywać. W tym świecie Józef był analfabeta i ubogim służącym, a policja i wszystkie mechanizmy utrzymywania porządku w społeczeństwie — nawet jeśli miał czyste sumienie — były dla niego zawsze niebezpieczeństwem i o ich działalności mógł myśleć tylko z przerażeniem, zwłaszcza teraz, gdy nie wiedział, gdzie jest jego siostra i co zrobiła z dzieckiem.

Dopiero, gdy siedział już w kuchni domu, czekając, aż przyjdzie do niego baas Nasie, zdecydował się, jakie pytania ma mu zadać. Chciał go poprosić o pomoc w poszukiwaniu siostry, która, miał zamiar powiedzieć, wyjechała do Kapsztadu, nie zostawiając żadnej wiadomości. Może baas Nasie mógłby zaproponować jakiś sposób. Ludzie mający wiedzę i władzę

dysponowali środkami, które — Józef widział już wcześniej — łatwo przynoszą wyniki graniczące z cudem.

Pośród wszystkich znanych mu białych Józef wybrał Nasiego dlatego, że gdy Nasie był dzieckiem, to właśnie Józef opowiadał mu różne historie, bawił się z nim, razem polowali na zające i dzikie koty; raz nawet Józef zabił jednym rzutem kamienia — imię, na którą Nasie prawie nastąpił.

Jednakże to nie baas Nasie wszedł teraz do pokoju. Służący przyprowadził siostrę Nasiego, panią Fletcher, i Józef natychmiast dostrzegł, że nie była ucieszona jego przybyciem i zadowolona, że siedział w kuchni. Spytał, czego sobie życzy? Józef odparł, że przyszedł zobaczyć się z Nasiem. Pani Fletcher odpowiedziała, że baas Nasiego nie ma w domu. Mówiła bardzo gwałtownie, co wynikało, jak Józef sądził, z jej dawniejszej złości spowodowanej odejściem Józefa ze służ-

by, a następnie ucieczką jego siostry. Lecz z pełnym szacunkiem Józef spytał, gdzie jest baas Nasie, gdyż chciał się z nim widzieć. Baas Nasie, powiedziano mu, nie mieszka już w tym domu. Józef spytał więc, dokąd odszedł. Pani Fletcher oświadczyła, że wyjechał, wyjechał daleko, zbyt daleko, aby Józef mógł go odnaleźć. Józef spytał wtedy, kiedy Nasie może wrócić? Ale pani Fletcher odparła, że Nasie nie wróci. Ze wyjechał jeszcze przed ostatnią wizytą Józefa w tym domu i nie zamierza wracać.

Po krótkiej przerwie, w której oboje stali milcząco w kuchni w towarzystwie nowych służących przypatrujących się scenie, Józef wyraził nadzieję, że nie zdarzyło się nic złego, co mogło spowodować wyjazd Nasiego. Była to całkiem niewinna uwaga, bo Józef wiedział, że Nasie planował pozostanie w domu, a także jak bardzo pani Fletcher kochała brata i nie lubiła jego wyjazdów, nawet jeśli udawał się tylko na uniwersytet. Ale bez względu na to, o co mu chodziło, pani Fletcher głośno wykrzyknęła: „Dlaczego tak myślisz?”

Józef zaskoczony był tą reakcją, ale trwał przy swoim. Odparł, że nie chciał przez to powiedzieć, że o niczym nie wiedział, że ostatnią rzeczą, jaką mógł mieć na myśli, byłoby oskarżenie baasa Nasiego o jakiś zły uczynek. Wyjaśnił swoją postawę, spodziewając się, że pani Fletcher wypędzi go, tak jak to miało miejsce poprzednio. Ale ku jego zdziwieniu pani Fletcher stała się jakby łagodniejsza w czasie jego wyjaśnień. Choć nadal stała sztywno wyprostowana i wroga, jak przed chwilą, nie krzyczała już na niego i zdawała się słuchać z uwagą. A kiedy skończył, spytała go — jakby sama chciała zająć miejsce Nasiego — po co go szukał?

Józef odparł, że spodziewał się baasa Nasiego pomocy w odnalezieniu siostry. Lecz znowu pani Fletcher wykrzyknęła: „Dlaczego tak myślisz?” To były jej pierwsze słowa, a potem Józef musiał wysłuchać obraźliwych słów pod swoim adresem, które wykrzykiwała razem z rozkazami, aby nigdy więcej nie zbliżał się do jej domu, i z obelgami pod adresem siostry. Obserwując wyraz wściekłości i strachu na jej wykrzywionej twarzy, Józef zrozumiał, bez wahania i bez złości, że wreszcie udało mu się odkryć ojca dziecka swojej siostry.

Przekład: E. Maruszak

Dan Jacobson urodził się w Johannesburgu w roku 1929. Kształcił się w Republice Południowej Afryki. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel, dziennikarz i biznesmen, a następnie wyjechał do Izraela, gdzie przez jakiś czas mieszkał i pracował w przygranicznym ośrodku rolniczym Dwukrotnie podejmował posady na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, publikując jednocześnie opowiadania, artykuły i orzeczenia literackie.

W 1958 r. przeniósł się do Londynu, gdzie mieszka do chwili obecnej wraz z żoną i czworgiem dzieci. Tam też ukazały się jego powieści: „Palapka”, „Taniec w słońcu” (której fragmenty publikujemy), „Daleko od Londynu”, „Dowód miłości”, „Pora przyjazdu”

Gabriel Lopez Chinas

I CO Z TEGO?

Dalem pięć peso Petronie
dziewczynka mówiła, że jej ojciec kaszle
i wypluwa krew ustami

Weż, powiedziałem, niech twoja mama
kupi mleko tatusiowi na jutro rano

Otworzyła oczy
jak wielkie skrzydła motyla

Pięć peso
w jej dziecięcym budzecie
są oczywiście skarbem

Jej matka sprzedała glinianą lepiankę
na której czas już złożył
swoją oschłą pocałunek
Skończyły się pieniądze
ojciec każdego dnia więcej kaszle
kaszle i wymiotuje krwią:

Petrona
jej braciszki i matka
pod deszczem czerwonym
prądków gruźlicy

Smiecie, nieczystości
brudne pueblo
zaraza

I kilku lotrów bogacących się w najlepsze:

Pięć peso
jak pięć palców uciętych
zębami zła

Pięć peso
w rączkach małego Petrony
uśmiechniętej niewinnie
I pięć skurczów agonii mej duszy
która nie może obronić swego ludu
mojego ludu!

Prawie w każdej glinianej chacie
wśród śmieci i nieczystości
jakiś człowiek kaszle i wyrzuca krew ustami

I co z tego, że w niebie świecą gwiazdy!



B.L.Ch.

Naa
Jo

Reprod. Eryk Stępień

MOWA ZAPOTEKOW

Podobno ginie język zapotek
już nikt nim mówić nie będzie
umarł powiadają
język Zapoteków

Język Zapoteków
diabli wezmą
dziś Zapotekowie uczeni
tylko hiszpańskim władają
Ach, moja mowa ojczysta
ci, którzy tobą pogardzają
nie wiedzą jak bardzo
ich matki cię kochały

Ach, moja mowa ojczysta
mowa, która mnie trzymasz przy życiu
wiem, że umrzesz
tego dnia, kiedy umrze słońce

BIEDNE JUCHITAN

Dźwigam na swoich barkach
twój los
jak nabrzmiałą
kulę ognia

Biedne me
Juchitán
wsparte o istotę tak słabą
że z trudem ustoi na nogach

Ni ty ni ja
nie ruszymy dalej

Ty przygwożdżone do mych pleców
ja ukrzyżowany
na twej piersi

Zmiażdżony
ciężarem twojego losu
i mojego
myślę o innych narodach
i innych ludach ziemi
które jak ty i ja
są więzione

— Jak długo jeszcze?
Kto wie
być może
na drodze Historii

Z hiszpańskiego przełożył Jerzy Wieluński

Gabriel Lopez Chinas, współczesny poeta meksykański, urodzony w 1911 roku w miasteczku Juchitan w prowincji Oaxaca (Meksyk). Pisze zarówno w swoim języku zapotek, jak też po hiszpańsku. Autor wielu zbiorów wierszy oraz opowiadań związanych tematycznie ze wspaniałym dziedzictwem kulturowym Zapoteków. Tłumaczony na język francuski, hiszpański i angielski. Wiersze „Biedne Juchitan” oraz „I co z tego?” pochodzą ze zbioru poezji „Juchitan”, wydawanego w Meksyku w r. 1971 nakładem wydawnictwa Ediciones Vinnigulasa. „Mowa Zapoteków” pochodzi ze zbioru poezji „Guendaxheela” („Zaślubiny”), wydawanego w Meksyku w r. 1975 przez wydawnictwo Editorial Mexicano, S. A. Gabriel Lopez Chinas — to nie tylko poeta, pisarz, filolog i historyk, ale także wielki humanista, obrońca praw Indian meksykańskich.

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Rdzenny uchwyt słowa

„TOŻSAMOŚCI”, jak w ogóle o wierszach Tadeusza Chrościelewskiego nie należy pisać recenzji. Nie dlatego, by napraszała się tu inna, bardziej „katedralna” forma czytelniczego pokwitowania, jak np. „zamiat recenzji” — raczej solidnie potrącająca o minoderie, ale dlatego że charakter recenzji zawiera pewne miary nie zawsze tym wierszom adekwatne. Może wyjść na to, że odległość będziemy mierzyli kilogramem, a czas centymetrem.

Dlaczego? Dlatego że wiersz Chrościelewskiego wymaga własnych miar. Jest organizowany w tym miejscu życiorysu słowa, gdzie nie utarło się ono jeszcze w banalnie intersubiektywne, łatwo przyswajalne, ale też i zubożone treściowo sygnat, gdzie żyjąca tego słowa substancja ma możliwość rozwinięcia się w wielu kierunkach i tylko od ciśnienia wyobraźni, od presji autorskiej sugestii zależy, jakimi obrótnymi funkcjami. Tak, mamy na to łatwiejszy i częściej używany termin: oryginalność. Ale rzecz oczywista, że jeśli chce-

my mniej więcej określić, na czym ta oryginalność polega, musimy zgodzić się na sformułowanie ryzykowne, nie wprowadzone jeszcze — jak nie są wprowadzone u Chrościelewskiego — w konwencję praktyki językowej. Weźmy np. taki wiersz „Odmarsz 7 pułku ułanów”, a w nim fragment:

„Kawalira” pożegnać —
szlachetny uczynek...
Więc jeszcze jeden Kossak,
wmalowany w rynek.

Ten „Kossak”. Rzecz wiadoma, że mamy do czynienia z gwałtowną przetrzątką punktu widzenia: wiersz jest opisem formowania się szyku marszowego pułku ułanów wyruszających na front i cały czas obserwujemy scenę „swoimi” oczami a raptem autor przetrząca widzenie w perspektywę przekazu kulturowego. Może nawet wyobraźniowego stereotypu. Tylko co: obraz się w ten sposób wcale nie uschematyzował. Jest osobista własność Chrościelewskiego, że potrafi operować znaczeniami niezwykłymi, sposobem wypowiedzi odleciał od skojarzeń praktykowa-

nych, na skutek czego jego lokucję można uznać za coś zbliżonego do humoru lirycznego, lirycznej gawędy.

Czy w ten sposób rzecz oddała się w martwy tradycjonalizm? Nie oddała. To wszystko, co przynosi nowa i najnowsza poezja, jest tu obecne, ale jedynie w stanie pogotowia, nie bezpośredniej aktualizacji. Cóż bowiem? Prolongować awangardę? Postawangardę? Poetykę zupełnie wytraconego z funkcjonalności „słowa rozkojarzonego”? To prolongować coś, a nie mówić od siebie. A „od siebie” Chrościelewskiego jest przestrzegane jako wymagalnik zasadniczy. Nie przez egoizm Słowo dla Chrościelewskiego nie jest tylko narzędziem ekspozycji osobowości autorskiej. Jest środkiem przekazu tych znaczeń, które w potocznej mowie poetyckiej, w języku — często — żargonie metafor zaciera się w swej jedyności, powielane przez sprawny poetycki rotaprint.

I rzecz szczególna. Ten poeta własnym zainteresowaniem tak nacelowany na walor przede wszystkim słowa

— bo nie tematu, nie filozofii widzenia, nie skojarzeń światopoglądowych, choć te spowodowane witalnością wyrazu przychodzą same — nie ma niczego z formalisty, nieczego z przybosiowskiego „słowiarza” ex professo zajętego robotą rewelowania odświeżonych znaczeń. Te odświeżone przychodzą same, naturalnym traktem wypowiedzi lirycznej, podanej przede wszystkim na maksymalną adekwatność. Zacheta tego autora brzmi: cofnijmy się, czytelniku, do rdzenia, w to stadium rozwoju słowa, gdzie nie obrosło ono jeszcze powszechnymi nawykami kojarzeniowymi choćby całkiem niepośledniego autoramentu, i popatrzmy jeszcze raz bo coś mi się widzi, że stosowany sposób używania języka gubi wiele z uroków świata: pokażmy się o ich ocalenie, choćby w drodze rzwyka.

I jakże potrzebne, skuteczne, wygrywające w końcu to ryzyko się okazuje.

Zygmunt
Mikulski

Tadeusz Chrościelewski:
Tożsamość. Wybór wierszy
1938—1980. Łódź 1980.

Anna G. Kister

KOŁYSANKA

dookoła ciemno ciemno
noc zamknij oczy

każdego poranka rośnie nad światem
ogromne słońce
jest prosta droga wysadzona lipami
i miód pachnący brzęczeniem pszczoł
motyle tańczą nad kwitnącym krzewem
nogi w krótkich spodenkach rozczesują trawę
cień ucieka z nadchodzeniem zmroku
na drugą stronę złotego jeziora
latające dywany chmur
kolyszą do snu szczyty wysokich wieży
i może tylko kopciuszek płacze w kącie
bo obiecany król wicz spóźnia się

zamknij oczy
dookoła ciemno ciemno
noc

Longin Jan Okoń

Plują w twarz brata
obnażają pierś
za srebrniki
soczysty żer

wyluskują ziarna
płewy kładą na Wawelu

strumień czarny
zatapia czas

Ojczyźnie czarnoziemiu
Ojczyźnie splekanych dłoni
— niezapominajki

List otwarty

do

Zarządu Głównego ZNP

WYPOWIEDZI na temat sytuacji w Związku Nauczycielstwa Polskiego, opublikowane nie tak dawno przez „Głos Nauczycielski”, bardzo ostrożnie oceniały działania Zarządów Głównych ZNP (starego i nowego) w ostatnich miesiącach (od połowy września 1980 r. do połowy grudnia). Przypatrzenie się posunięciom byłych i obecnych władz centralnych Związku ma również taki sens, iż wyjaśnić może przejście znacznej liczby pedagogów do NSZZ „Solidarność”.

Jak wiadomo powszechnie, Zarząd Główny ZNP jako jeden z pierwszych podjął decyzję o wystąpieniu z CRZZ. Wtedy, we wrześniu, było to posunięcie rodzące pewne nadzieje. Znaczna większość nauczycieli liczyła wówczas, że za tą decyzją nastąpią inne: twórcze. Wszak sama rezygnacja

z CRZZ niczego jeszcze w ruchu ZNP-owskim nie załatwiła, nie była to decyzja mająca odnowę Związku za oczko w głowie związkowych władz. Raczej oczkiem w głowie stało się gorączkowe szukanie możliwości utrzymania swoich teczek z nominacjami, lub innego wyjścia — ale w miarę obronną ręką. Tak więc nadzieje szeregowych nauczycieli rozmięły się z taktyczną obroną przez ówczesny Zarząd Główny ZNP.

Wydaje mi się, że zarówno prezes ZG, jak też jego koledzy przez biurko — miast zabiegać o odrodzenie ruchu — gorączkowo spoglądali na centralne władze polityczne, oczekując dalszych dyrektyw. Sytuacja niewiarygodnie smutna; bierność, swoisty egocentryzm.

W partii wrzesień stał pod znakiem wstępnego

porządkowania spraw wewnętrznych organizacyjnych oraz — nieśmiały jeszcze — decyzji nowego kierownictwa. W naszym ruchu związkowym był to czas cofania się, jako że inni w tym okresie uczynili kroki naprzód. Myślę głównie o „Solidarności”. Kielich gorczy został dopelniony, gdy ogniska otrzymały projekt nowego statutu, który w istocie nie różnił się od dotychczasowego. W naszym ognisku nr 40 (Lublin) oceniono to krótko: kpina z nauczycieli! Tak jest, zostaliśmy okpieni również nieelegancko, jak kto inny okpiwał nas wcześniej. Myślę, że Zarząd Główny nad legitymacje związkowe przedkładał zgubny model myślenia: model daleko posuniętego autokratyzmu, wedle którego Związek Nauczycielstwa Polskiego to organizacja realizująca dyrektywy odgórne, nie zaś autentyczny ruch zawodowy.

Skoro jednak cały ten system w końcu się załamał, postanowiono w Zarządzie Głównym, że nie innego już nie pozostaje, jak odejść. Miało to miejsce podczas pierwszego dnia obrad XIII Krajowego Zjazdu ZNP. Tylko, że — aby było jeszcze gorzej — zdecydowano się wcześniej na zaszerwowanie nauczycielom projektu nowego statutu, o którym wyżej wspominałem. W ogniskach zawrzało i wtedy stało się jasne, że podział ruchu zawodowego nauczycieli został tym samym dokonany.

W całym tym, zdawałoby się, demokratycznym posunięciu — bo przecież sami nauczyciele mieli dokonać korekt owego projektu statutu — zabrakło metody. Bo nie metodycy ruchu związkowego we władzach ZNP zasiadali. Zabrakło także metody kierowania, która skonsolidowałaby Związek szybciej niż inne zrzeszenia branżowe. Zabrakło ludzkiej odwagi (co łatwo można udowodnić, przeglądając tamten statut), szerokości myślenia, choćby jakiego-takiego widzenia przyszłości.

Dokończenie ze str. 1

Trzeba bowiem przypomnieć, iż w poprzednich konfliktach: władza — społeczeństwo zajmowali oni raczej bierne stanowisko. Co więcej — w dniu, w którym Gomułka przestał być pierwszym sekretarzem, załogi lubelskich zakładów podejmowały rezolucje i słały telegramy o treści: „klasa robotnicza Lubelszczyzny zawsze z Wami towarzyszu Wiesławie”. W 1976 roku nie było większych trudności ze skompletowaniem składu wycieczek na osławiony wiec w Radomiu ani z zapelnieniem, dużego przecież, stadionu „Lublinianki” podczas podobnego mitingu w Lublinie. (Gwoli sprawiedliwości powiedzić trzeba, że akt dziękczynny za zdecydowaną akcję władz wygłosił nie robotnik, lecz przedstawiciel nauki). Zdajemy sobie sprawę, że wymienione przykłady wiernopoddania nie prezentowały rzeczywistego stanowiska ani klasy robotniczej, ani inteligencji lubelskiej. Niemniej szybkość, z jaką lublinianie przeszli od „zdalnego sterowania” swoimi poglądami i wypowiedziami do aktywnej postawy (1976—80), jest fenomenem socjologicznym wartym wyjaśnienia.

Podjęwając próbę takiego wyjaśnienia, zdajemy sobie sprawę, że dalece nie wyczerpie ona spłotu przyczyn i okoliczności prowadzących do „lubelskiego lipca”. W większym stopniu stać nas na formułowanie pytań, niż na znajdowanie gotowych odpowiedzi. Chcemy jednak przerwać ciszę panującą wokół tego tematu i zachęcić do szerszej dyskusji. Jest ona niezbędna nie tylko w imię prawdy historycznej, lecz również dlatego, że niemożliwa wydaje się odnowa i demokratyczne rządzenie społeczeństwem bez badania nastrojów społecznych i poszukiwania dróg zabezpieczających przed zaostrzeniem się sytuacji konfliktowych, których żadne społeczeństwo nie jest w stanie uniknąć.

Wracając do opisanej postawy, jaką — rzekomo — manifestowało społeczeństwo Lubelszczyzny w przeszłości, warto odwołać się do psychologii społecznej i postawić następującą hipotezę. Akceleratorem aktywności robotniczej w 1980 roku mógł być kac moralny wynikający ze świadomości, że byliśmy wykorzystywani jako lamistrajki i „potępiacze”. Ten absurd był tym silniejszy, że ta sama władza, która uprzednio wzywała do potępienia, w kilka dni później odwoływała poprzednie oceny, albo oceny te brutalnie weryfikowała przyszłość. Zweryfikowanie tej hipotezy nie wydaje się łatwe. Jeżeli jednak choć w części jest ona prawdziwa, to wyplęta z niej ważna nauka dla osób sprawujących władzę. Nauka o kolosalnym niebezpieczeństwie wszelkiej manipulacji poglądami i postawami. Działanie takie przynosi jedynie pozorne, krótkotrwałe sukcesy. W

dłuższym okresie obraca się ono przeciw manipulantom.

Przechodząc od hipotez do czynników łatwiej uchwytanych i wymierznych, na pierwszym miejscu wskazać trzeba sytuację materialną. Była ona — jeżeli weźmiemy obszar całego dawnego województwa — gorsza od przeciętnej krajowej. Posługując się syntetycznym wskaźnikiem wartości spożycia dóbr materialnych przypadającej na jednego mieszkańca, stwierdzić można, że była ona niższa w 1958 roku od średniej krajowej o 1198 zł i niższa od najwyższej średniej wojewódzkiej (katowickiej) o 3003 zł. Dywans ten w 1965 roku wzrósł do 1516 i 3629 zł, w 1970 r. — do 2157 i 4617 zł i w 1976 r. — do 3744 i 8368 zł.

Jeżeli idzie o zmiany, które doko-

rzanie się wsi; nieuchronne wymierania rodziców i bliskich krewnych powodowało często całkowite zerwanie dotychczasowych więzi. Ponadto wymuszanie wzrostu towarowości rolnictwa przy stagnacji produkcji powodowało ograniczanie samozaopatrzenia i czyniło boleśniejszymi braki rynkowe. Wymienione czynniki przyczyniły się do przyspieszenia integracji „młodych” i „starych”. W efekcie w latach siedemdziesiątych mieliśmy do czynienia nie tylko ze wzrostem ilościowej klasy robotniczej, ale także z istotnymi przemianami jakościowymi.

Drugą zmianą jakościową był wzrost poziomu wykształcenia. Wiąże się to z wiekiem osób, które stanęły na czele ruchu robotniczego. Powszechnie ruch, z którego wyrosła „Solidarność”, nazywany jest ruchem trzydziestolat-

nych miasteczko akademickie, nagonki na ludzi często cieszących się dużym szacunkiem opinii społecznej, dość mocno podważyły wiarę w socjalizm o party o dyktat i siłę. Możemy przypuszczać, że podobnie przeżywali marzec ci, którzy w lipcu 1980 roku przystąpili do masowej akcji strajkowej lub swoją postawą akcję tę poparli.

Wróćmy jeszcze do kwestii materialnych. Posługiwanie się średnimi statystycznymi nie ukazuje całej prawdy. W minionej dekadzie przy stosunkowo szybkim wzroście dochodów nominalnych mieliśmy do czynienia ze wzrostem dysproporcji w podziale rzeczowym. Postępująca nierównowaga rynkowa wraz z utworzeniem grup uprzywilejowanych, które dzięki bonom, talonom, przydziałom, znajomościom et cetera nie odczuwały pogorszenia zaopatrzenia, prowadziła do upośledzenia grup o mniejszej sile przebić. W pewnym stopniu było to nasilone przez budowę LZW, która przyczyniła się do zmniejszenia ogólnodostępnej puli mieszkań i zwolniła rozwój infrastruktury społecznej.

Nierównomierność podziału nasilała poczucie krzywdy. Przeświadczenie o rosnącym dystansie w stosunku do ludzi bogatych korelowało z — przesadzonym być może — obrazem warunków życia w Gdańsku, Szczecinie i Radomiu. Dostyc często można było rok czy dwa lata temu w Lublinie spotkać następującą opinię: „Postawili się, to teraz mają lepiej.” Do poczucia krzywdy coraz silniej zatem musiała dołączyć determinacja, która mogła być silniejsza niż strach.

Chociaż koncentrujemy się na zjawiskach związanych z postawami robotniczymi, wspomnieć należy także o stanowisku władz. W lipcu, w odróżnieniu od poprzednich konfliktów, po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z reakcją spokojną, wyważoną czy czasem nawet sympatyzującą. Stawia to nowe pytanie — o zmiany, jakie zaszły w poglądach i metodach osób sprawujących władzę.

Problem ten przekracza ramy naszych rozważań. Nie czujemy się zresztą na siłach go podejmować. Ogólnie wskazać jedynie możemy na to, że na wszystkie szczeble władzy tonizująco działało zapewne wspomnienie grudnia. Wydaje się także, że kadra kierownicza szczebla wojewódzkiego znalazła się w końcu dekady w dość niewdzięcznej sytuacji. Postępująca centralizacja decyzji pozostawiała im coraz mniejsze pole do działania. W tym samym kierunku działał nowy podział administracyjny. Równocześnie ludzie ci, znacznie lepiej niż „góra” znający realia życia i nastroje społeczne, boleśnie musieli odczuwać nonsensowność niektórych decyzji centralnych. Przykłady krytycznych poglądów wypowiedzianych przez terenowy aparat partyjny dostarczyła dyskusja na VIII Zjeździe.

Piotr Karpus
Sławomir G. Kozłowski
Michał Zieliński
Andrzej Żuk

PRZYCZYNY LIPCA '80

nały się w samym Lublinie, to w latach siedemdziesiątych nastąpił wzrost liczby mieszkańców o około 70 tys. osób. Podobnie jak w poprzednich latach głównym źródłem przyrostu był napływ ludności ze wsi. Jeżeli dodatkowo uwzględnimy czasowo zameldowanych — a wielu z nich mieszka w Lublinie po kilka i więcej lat — to udział ludności napływowej będzie jeszcze większy. Proces wrastania ludności napływowej w klasę robotniczą odbywa się stosunkowo wolno. Na ogół przez dłuższy okres zachowują oni silne związki ze wsią. Wynika to nie tylko z dużej siły więzi rodzinnych, lecz również z tego, że w znacznym stopniu korzystają oni z pomocy rodziny. To dodatkowe dofinansowywanie (czy częściej pomoc rzeczowa) może zmniejszać kłopoty związane z zaopatrywaniem w żywność. Może także prowadzić do pewnej sprzeczności interesów między „starymi” i napływowymi robotnikami. Skala tego zjawiska jest na pewno mniejsza w tych ośrodkach przemysłowych, do których napływa młodzież z bardziej odległych regionów (Wybrzeże).

Procesy proletariatu młodzieży wiejskiej — choć wolniej — dokonywały się także w Lublinie. W latach siedemdziesiątych pojawiły się czynniki, które procesy te wzmocniły. Sta-

ków. Pokolenie to ma swoje specyficzne cechy. Po pierwsze — jest ono lepiej wykształcone od swoich poprzedników. Znacznie większa jest jego wiedza o świecie. Przy czym wiedza to wolna od przesądów. Nie mają oni zakodowanych w podświadomości informacji o tym, że Truman zrzuci na Polskę stonkę ziemniaczaną, a Coca-Cola jest ogłupiającą klasą robotniczą trucizną. Czynniki ten (wykształcenie) mógł działać w Lublinie silnie niż gdzie indziej. Lublin w latach siedemdziesiątych stał się — razem z Łodzią — szóstym po Warszawie, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu i Poznaniu ośrodkiem studenckim, a całe województwo plasowało się w tym okresie na 7—9 miejscu pod względem liczby uczniów szkół ponadpodstawowych przypadających na tysiąc mieszkańców. Pamiętać tutaj trzeba także o pewnym ilościowym efekcie wiedzy, która przekazywana jest dalej przez osoby wykształcone. Podobnie zapewne oddziaływały bliskość Warszawy i dogodne z nią połączenie komunikacyjne.

Warto przypomnieć także o tym, że obecne trzydziestoparolatki były studentami w 1968 roku. Dla niżej podpisanych, którzy wtedy również studiowali lub byli tuż po studiach, widok uzbrojonych milicjantów blokują-

Odechodzą zatem do „Solidarności” prawdziwi aktywiści (oni właśnie katalizują teraz przemiany tego związku), odchodzą i bierni, ci, którzy zostali, by ratować prestiż Związku Nauczycielstwa Polskiego, narażali się na docinki, śmieszności, byli — i są — posadzeni nawet o wściekłość. Istnieje bowiem nadal paradoks — mimo niedawnego Zjazdu Krajowego iż władze ZG myślą nadal tu i tam po staremu, a jeśli po nowemu, to zbyt wolno.

Stare sposoby myślenia ujawniły się na grudniowym plenum ZG. Podjęto tam mianowicie decyzję — bez konsultacji z ogniskami lub choćby radami zakładowymi — o przystąpieniu do Komisji Porozumiewawczej Branżowych Związków Zawodowych. Ktoś, kto czyta na przykład „Głos Pracy”, wie, że akces do owej Komisji zgłosiły tylko niektóre niezależne związki. Byłoby jasniej, przyznam, że co do ilości akcesorów nie mam rozważań, bo prasa związkowa dyskretnie przemilcza te kwestie. Wiadomo jednak, że ZNP Pracowników Szkół Wyższych i Instytucji Naukowych pozostał poza tą Komisją (brak jednomyślności w samej federacji!).

Mówi się, iż Komisja Porozumiewawcza to nie żadna neo-CRZZ, ale kto wie? Transmisja telewizyjna z zebrania związków branżowych, jakie odbyło się z udziałem premiera w hali „Gwardii”, każe się domyślać także z tego.

Na wspomnianym plenum Zarządu Głównego ZNP Pracowników Oświaty i Wychowania referat wygłosił kol. Stanisław Grześniak, w którym żalił się na opieszałość ministra oświaty i wychowania; gdy idzie o realizację postulatów zgłoszonych przez uczestników XIII Zjazdu. A dalej orzekł tak: „Jakośkolwiek w dalszym ciągu uważamy, że strajk nie licuje z godnością nauczyciela i wychowawcy,

sięgniemy po ten środek w egzekwowaniu należnych nam świadczeń i uprawnień, gdy zawiodą inne metody”.

Zestawiam ten cytat z wypowiedzią ministra Kruszewskiego, który znacznie wcześniej w Gdańsku rzekł nauczycielom (cytuje z pamięci): „Zał mi będzie ZNP, gdy się rozwiąże! Było to oświadczenie, które Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego POiW — winien był przyjąć za ciężką monetę w rozmowach z ministerstwem. Szkoda, że kol. E. Czerkies tak krótko sprawował funkcję prezesa ZNP — bo wydawało się jeszcze po Zjeździe Krajowym, że pod jego kierownictwem tzw. „stary” ruch nauczycielski naprawdę się odnowi. Po śmierci kol. Czerkies powrócono do związkowego konserwatyzy. Zaczęto pertraktować z panią Milczarek, ta zaś wkrótce potem przestała pełnić funkcję ministerialną. Czy jest przypadek? Nie sądzę. Kol. Grześniak zaczął straszyć strajkiem, gdy wszystkie akcje strajkowe zostały zawieszane lub odwołane. Czyż potrzebny jest do tego jeszcze jakiś komentarz? Czy naprawdę Zarząd Główny ZNP POiW z jego wiceprezami nie dostrzega zachodzących z dnia na dzień zmian

Wreszcie związkowcy z „centrali” muszą zrozumieć, iż nie tylko postulaty są ważne. Ważne są też pozytywne akcje społeczne. Z żadną taką Zarząd Główny ZNP POiW wyraźnie nie wystąpił (do połowy grudnia). „Solidarność” natomiast ciągle nas zaskakuje nowymi propozycjami o społecznej wartości. Czy my, członkowie działający w ZNP, jesteśmy tacy skostniałi? Ależ nie — starzej się nowe władze centralne POiW. Najlepsze nawet władze miejskie czy okręgowe nie działają wiele, gdy zawiedzie „centrala”, co, choćby ze względu na możliwości propagandowe jest zrozumiałe.

Gdy idzie o decyzję ZG ZNP Pracowników Oś-

wiaty i Wychowania o przystąpieniu do Komisji Porozumiewawczej, koło, do którego należy, wystosowało do Zarządu Głównego oświadczenie sprzeciwiające się takiej uchwale. Podaliśmy też argumentację naszego stanowiska. Odpisy oświadczenia skierowaliśmy do „Głosu Pracy” i „Głosu Nauczycielskiego”. Oby redakcje pozostawiły sprawę bez komentarza, zaś red. naczelny „Głosu Pracy” zdecydowanie odmówił publikacji otrzymanego tekstu. Taka swoiście pojecha redakcyjna cenzura nie polepszy stanu naszej powszechnej informacji, mimo najlepszych ustaw. Odcinanie się prasy związkowej od głosów polemicznych jest — zdaje się — silną pozostałością po okresie minionym.

Krótko mówiąc, uważam, że Związek Nauczycielstwa Polskiego stać na pełną samorządność, także jeśli chodzi o międzynarodowe kontakty związkowe. Jest to ruch, który może i musi samodzielnie walczyć o „słuszne prawa nauczycieli. O ile oczywiście ster obejmą ludzie twórczy i młodzi, dla których główną dyrektywą stanie się słuchanie „społecznego sumienia nauczycieli. Z tradycji ZNP należy brać tyle i to, co mieściłoby się w pełnym nonkonformizmie Związku. Włączanie nas w ruch zawodowo-przemysłowy jest — delikatnie mówiąc — nieporozumieniem. Z ruchem tym współpracować trzeba, ale czy koniecznie pod wspólną „czapką”? Doświadczenia z przeszłości są raczej przykre.

Związkowi Nauczycielstwa Polskiego w równym stopniu, co autentyczni działacze (czy pozostali jeszcze tacy we władzach różnych szczebli?) potrzebni są także autentyczni, postępowi, otwarci ku przyszłości — ideologicznie ruchu zawodowego. Teraz — przede wszystkim oni.

Marian Janusz Kawalko

KTO POMOŻE REFORMIE?

Dokończenie ze str. 1

a nie za nią. Bo przecież działacze społeczni i gospodarcy z komisji to wielu z tych, których obwiniamy dzisiaj za stan naszej gospodarki. I jak oni, którzy ją popsuli, mogą teraz stać się naprawiającymi?

Obecnie przedstawia się projekt komisji do publicznej dyskusji i podkreśla jego charakter jako syntezy wielu propozycji. Trzeba jednak pamiętać, że powszechna zgoda wśród ekonomistów istnieje tylko na trzy główne kierunki rozwiązań reformy: wzmocnienie centralnego planowania, wzmocnienie demokracji gospodarczej i autonomię dla przedsiębiorstw. Co nie znaczy, że jest to zgoda na konkretne rozwiązania szczegółowe.

Niespójność projektu komisji wynika między innymi z braku konsekwencji w proponowanych zmianach, szczególnie gdy idzie o zmiany w limitowaniu i rozdzielnicach. Wiadomo, że trzeba zlikwidować dyrektywę, ale projekt pozostawia furtek dla nich, i można sobie wyobrazić panów z branżowych ministerstw, o funkcjach których trudno jest mówić rozsądnie, jak znajdują oni „uzasadnione przypadki”, aby, kiedy pozwoli im się funkcjonować w gospodarce, posłużyć się rozdzielnicami i zbiorem dyrektyw.

Ogólnikowość projektu polega na operowaniu hasłami, które mocno się zdewaluowały — jak winno być dobrze, jak centrum będzie prawidłowo sterowało rynkiem, jak rolnictwo będzie opłacalne, jak będziemy przeciwdziałali biurokracjom wypaczeniom... Można powiedzieć, że to już było, teraz potrzebne są konkretne mechanizmy gospodarcze.

Wiele trudnych spraw (struktury organizacyjnej, polityki podatkowej) ujmuję się w projekcie w perspektywie bliżej nieokreślonej. Nie wiadomo, kiedy dokonane zostaną zmiany, a jest to nie do przyjęcia. Niedopuszczalna jest także zaproponowana formuła uzyskiwania społecznej akceptacji dla tego projektu. Będzie on dyskutowany, potem rozważany przez Zjazd, a następnie aprobowany przez Sejm i realizowany przez Rząd. A co będzie, jeśli społeczeństwo nie zaakceptuje przyjętych w projekcie rozwiązań i określone grupy przedłożą swoje propozycje?

Ponadto nie stworzono perspektywy racjonalnego wyboru i dosyć trudno społeczeństwu dyskutować nad alternatywami, gdy znajomość innych propozycji i różnic między nimi jest minimalna. Na przykład o projekcie Balcerowicza istnieje wprawdzie opinia, że stanowi bardziej spójne i dojrzalsze rozwiązanie niż projekt rządu

wy. Jednak jest on dostępny tylko nielicznym, rozpowszechniany jako druk do wewnętrznego użytku. Fakt, że wśród ekonomistów pojawiło się kilka równorzędnych propozycji, to najlepszy dowód, że środowisko to chciałoby odgrywać przysługującą mu rolę — decydowania o sprawach gospodarczych, a nie jedynie rolę „ekspertów” od wyjaśniania politycznych decyzji.

I właśnie w kontakcie upowszechnienia idei reformy gospodarczej bardzo wysoko należy ocenić zorganizowaną w grudniu 1980 r. przez uczelniany NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Łódzkiego ogólnopolską konferencję na temat: „Reforma gospodarcza a warunki realizacji porozumień społecznych”. Sądzę, że najważniejsza była pointa tego niezwykle ciekawego i konstruktywnego spotkania. Czołowi przedstawiciele myśli ekonomicznej skierowali mianowicie swoje oczekiwania pod adresem „Solidarności” jako głównej siły społecznej, która powinna sprawić, aby reforma gospodarcza stała się faktem, a nie jedynie kolejnym przyczynkiem do historii polskiej myśli gospodarczej. Jest w sumie bardzo charakterystyczne, że ekonomiści, wzbogaceni o doświadczenia związane z niechęcią władzy wobec zmian w mechanizmie gospodarczym w okresach poprzednich, zdają sobie sprawę z trudności, jakie napotykają w realizacji obecnej reformy.

Czy jednak „Solidarność” jest zainteresowana reformą w takim stopniu, aby ponosić część ciężarów związanych z wdrażaniem tej reformy do praktyki? Jeżeli tak, to za którym projektem należy się opowiadać — czy za uderzeniowym przestawieniem gospodarki, czy może powolnym jej modyfikowaniem, rozłożonym na wiele lat, co właśnie sugeruje projekt rządowy?

Nie są to pytania retoryczne i wprawdzie można wskazywać na fakt, iż „Solidarność”, reprezentująca większość ludzi pracy, zdeterminowana jest koniecznością wyjścia kraju z głębokiego kryzysu gospodarczego, którego konsekwencje ponosi całe społeczeństwo, że równocześnie związkowcy są świadomi, iż bez zmian w gospodarce nie mogą się dokonywać zmiany w sferze społecznej i politycznej, niemniej trzeba wprawdzie dokładnie rozważyć minusy reformatorskich działań.

Przy przeprowadzaniu tego wyjątkowego w naszej historii rachunku strat i zysków „Solidarność” i inne związki zawodowe muszą uwzględnić szereg niebezpieczeństw związanych z reformą. Trzeba pamiętać o apatyczności ludzi, którzy w ciągu wielu lat nabrali przekonania, że wysiłki ich pracy mogą być zmarnowane przez niekompetentne władze, a także o tym, iż zastosowania techniki w przemyśle zbyt często przypominają... złomowisko. Realnie też pojawiają się niebezpieczeństwa związane z możliwością przejściowego bezrobocia jako efektu redukcji zatrudnienia w administracji i zakładach pracy. Kolejne niebezpie-

czeństwa to gwałtowne ruchy cen, rozwarstwianie dochodów indywidualnych niezgodne z odczuciem sprawiedliwości społecznej, czy też pogłębienie się inflacji.

Kiedy rozważamy widoczne niebezpieczeństwa wprowadzenia reformy, równocześnie musimy pamiętać o tym, że powstanie demokracji gospodarczej jest jednym z głównych warunków wyjścia z kryzysu oraz że odroczenie terminu zmian w gospodarce mechanicznie może spowodować pogłębienie się obecnego kryzysu. Reforma gospodarcza stanowi także ogromną szansę ze względu na to, iż dotychczasowy mechanizm nie jest zdolny do zapewnienia gospodarce niezbędnego postępu efektywności ani równowagi w stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych. Rezerwy tkwiące w ludziach i możliwości wykorzystania „złomowiska” mogą być uruchomione wyłącznie przy gruntownych zmianach w systemie gospodarowania.

Jest to sytuacja paradoksalna, w której związki zawodowe mają w imię interesu nadrzędnego wspierać reformę gospodarczą i brać na siebie współodpowiedzialność za ewentualne negatywne jej konsekwencje, uderzające w ludzi pracy.

To, że ruch związkowy musi być główną siłą wspierającą reformę, staje się jednak w wyniku splotu okoliczności coraz bardziej pewne. Równocześnie powinniśmy opowiedzieć się za scenariuszem szybkiego wprowadzenia reformy, dobrze przygotowanej i dającej gwarancje ludziom pracy. Albowiem tylko wtedy można liczyć na realne, głębokie zmiany w gospodarce. Przeciwnie powolnemu wdrażaniu reformy przemawiają głównie negatywne efekty związane z historią zaprzeczania poprzednich szans na reformę.

Niechęć do reformy cechuje w naszym kraju grupy, które przy jej wprowadzeniu tracą swoje przywileje, a dodatkową barierą, jaką trzeba będzie przełamać, są nastroje braku zaufania do władzy, co przy wystąpieniu ewentualnych negatywów reformy, o czym wspominałem wcześniej, może się pogłębić.

Sprawą najistotniejszą jest obecnie kwestia przekonania wszystkich decydentów o niezbędności głębokich przemian gospodarczych. Trzeba zrozumieć przy tym, że wprowadzanie reformy to społeczna walka o odebranie przywilejów całym grupom, o zmianę kierownictwa gospodarczego niekompetentnego na kompetentne.

Jak określił to jeden z uczestników łódzkiej konferencji, decydenci gospodarczy także muszą zapłacić cenę za wychodzenie z kryzysu, a ceną tą jest zgoda na ustępstwa w sprawowaniu władzy. Oczywiście inaczej traktować

trzeba tych z grona kierownictwa, którzy widzą swoje możliwości menedżerskie dopiero w nowym systemie, a inaczej tę dużą grupę, która traci wszystko. Ci ostatni nigdy nie będą mogli utrzymać swojej władzy w warunkach nowego systemu, wypadną z „kadrowej karuzeli”, której mechanizm zostanie zresztą mocno rozregulowany. W sumie przeciwnikami reformy będą przedstawiciele branżowych lobby, panoszących się w naszej gospodarce, którym grozi likwidacja. Czymi władze polityczne staną się sprzymierzeńcami, zależy będzie od sposobu sprawowania kierowniczej roli przez partię.

Barierę związaną z nieufnością społeczeństwa wobec władzy nie można zniwelować inaczej niż przez takie działania, które będzie zabezpieczało interesy społeczeństwa.

Jednocześnie muszą zostać stworzone dla społeczeństwa, dla jego poszczególnych środowisk, gwarancje, że warto ponosić koszty związane z reformą. Tymi gwarancjami powinny być prawne i realne zmiany statusu samorządu w jednostkach gospodarczych i samorządności lokalnej oraz — co jest chyba najważniejsze — zmiany w sposobie funkcjonowania organów władzy centralnej i terenowej. Wiązać się z tym musi konsekwentne oczyszczenie szeregów decydentów z ludzi odpowiedzialnych za błędy okresu poprzedniego.

Na społeczne poparcie dla reformy będzie mieć też wpływ uczestnictwo przedstawicieli „Solidarności” i innych związków w wyborze rozwiązań systemowych i sposobu ich wprowadzania.

Niezbędne jest rzetelne i pełne poinformowanie całego społeczeństwa o kosztach i efektach wybranego wariantu, o grożących niebezpieczeństwach w trakcie zmiany systemu i przewidywanych zabezpieczeniach.

Istotą tej reformy stanowi demokracja gospodarcza, ale po to, aby zmienić mechanizm gospodarczy, potrzeba wcześniej zmiany metod przygotowywania i podejmowania decyzji o reformie oraz formy konsultacji ze społeczeństwem. Nie można znowu narzucać rozwiązań „jedynie słusznych” — społeczeństwu, które płaci za stosowanie ich w praktyce. Koszty obecnego kryzysu gospodarczego i tak będą w różnej formie obciążały nasze społeczeństwo przez parę następnych lat. Teraz trzeba dokonać społecznego wyboru drogi wyjścia z kryzysu, nie odwołując się do znanych wszystkim apeli o ofiarę i wytrzymałość. Ludzie potrafią pracować i bez iluzorycznych hasel czy apeli, należy im stworzyć do tego warunki. Sprawa reformy, zmiany systemu ekonomicznego, stała się na tyle ważna, iż władza, jeżeli chce uwiarygodnić prawo do społecznego mandatu, musi przeprowadzić reformę szybko i sprawnie, zgodnie ze społecznym wyborem. Innej drogi nie ma.

Lesław A. Paga

Zmierzech idoli

Istvan Grabowski

NIC nie może wiecznie trwać — głosił tytuł jednego z przebojów zmarłej przed rokiem Anny Jantar. W tym stwierdzeniu zawiera się prawda życia estradowego. Jakby na przekór swoim licznym sympatykom i własnej, budowanej latami sławie rozwiązują się najgłośniejsze formacje muzyczne. Wspomnijmy choćby Beatlesów, Procol Harum, Cream, King Crimson, Mahavishnu Orchestra, Deep Purple, Moody Blues, Mountain i Emerson, Lake and Palmer.

Z końcem listopada 1980 roku ogłosiła swój finisz najgłośniejsza w historii polskiego rocka — grupa SBB. Dziesięcioletnia działalność trójki (ostatnio kwartetu) obfitowała w ciekawe dokonania, fakty. Nie bez powodu młodzież nazywała SBB swym standardowym wykonawcą. Chyba tylko jeden Niemen mógł konkurować z SBB w liczbie zwolenników. O zespole tym pisało się i mówiło w ciągu tych dziesięciu lat bardzo dużo, prawie zawsze w superlatywach.

SBB powstało na Śląsku, konkretniej zaś w Siemianowicach w 1969 roku z inicjatywy byłego studenta konserwatorium i basisty grupy Breakout — Józefa Skrzeka. Początkowo działalność towarzyszyła ogromne trudności. Trzej entuzjastki bluesa i rytmicznej muzyki rockowej — pianista i basista Skrzek, gitarzysta Apostolis Antymos i perkusista Jerzy Piotrowski — skazani byli wyłącznie na siebie. Z powodu braku profesjonalnego sprzętu i odpowiedniej sali do prób, grali w wilgotnej izbie prywatnej przy ulicy Zeromskiego. Nikt w nich nie wierzył, a i oni sami nie marzyli jeszcze wtedy o sławie. Liczyła się sama muzyka i możliwość niekonkurencyjnie się wspólnie poruszania. Czuli wewnętrznie potrzebę wypowiedzi, tylko nikt dziwnie nie chciał ich słuchać. Po dwóch latach wyrzucił się z prób i zmagań z wieloma przeciwnościami zespół i zrehabilitował się oficjalnie jako Blues Band. Nagral wtedy w Katowicach kilka utworów instrumentalnych dla radia, ale do ogólnopolskiego uznania było mu bardzo, ale w bardzo daleko. Chłopcy rozsadali entuzjazm i podziw dla muzyki. Brakowało jedynie aparatury i odpowiedniego protektora.

Ambitny ansambl podzieliłby pewnie los wielu podobnych mu formacji, gdyby nie Niemen, poszukujący własnej odmiany muzyki akompaniującej. Skrzek, Antymos i Piotrowski skorzystali z tej szansy i przez dwa lata wiernie towarzyszyli idolowi nastolatów. Nie był to dla nich łatwy okres. Niemen eksploatował zdolności młodych i zauroczonych dźwiękami instrumentalistów dosyć intensywnie. Praca z Niemenem pozwoliła jednak uwierzyć im we własne siły. Wyjechał kilka razy na Zachód i zarobił na własną aparaturę. Dzięki temu z początkiem 1974 roku trio mogło ogłosić artystyczną samodzielność i nową nazwę — SBB. Interpretowano ją swobodnie, próbując dopasować do artystycznych założeń zespołu — Szuka, Bura i Buduj. Sprawdziła Barwa Brzmienia. Skrzek Bierze Barokady. Faktem jest, że z narodzinami SBB wiązano poważne nadzieje na uzdrowienie przeczadzącej właśnie okres stagnacji polskiej estrady. Od pierwszych koncertów towarzyszyło mu zainteresowanie, jakiego się dotąd nie spotykało na polskich scenach. Koncerty SBB przyjmowano wszędzie z wielkim zainteresowaniem. Grupa miała na porządku swojej sławy dynamiczną muzykę, wykonywaną z rzadko spotykaną ekspresją. Własnie

od początku Skrzeka i jego przyjaciół nazywano „wirtuozami rocka”. Na tal entuzjazmu wiele można było zdziałać. W przeciągu zaledwie roku SBB dorobiło się dużej płyty, zarejestrowanej na koncercie w warszawskim klubie Stodola. Powodzenie dysku przeszło najsmielejsze oczekiwania. To też zdołowane koniunktura „Polskie Nagrania” nie wahały się wydać szybko następnego albumu.

Niezwykły charakter SBB objawiał się w długich improwizacjach, kreowanych świadomie na błyskotliwe fajerwerki. Muzyka stanowiła zaś syntezę różnych gatunków. Przeważnie łączono ją z produkcjami Hendrixa i legendarnej Mahavishnu Orchestra — z pogranicza jazzu i progresywnego rocka. W filozoficznej muzyce Skrzeka znaleźć można było struktury czysto rockowe, elementy jazzu, bluesa boogie i elektronicznej symfoniki. Cechowała ją nadto kunsztowna oprawa. Nic więc dziwnego, że słuchacze, przyzwyczajeni do monotoni polskiego popu kupowali propozycje trójki jako „muzyczną sensację”. Dzięki temu SBB zyskało szybko opinię wybitnego i powszechnie szanowanego przez odbiorców, eksperymentalnego warsztatu dźwiękowego. Ten kredyt zaufania sprawił, że każdy nowy utwór, każdy występ przyjmowano bezkrytycznie jako rewelację, jakkolwiek modne trio dość szybko zmieniło front. Od prostego rocka przechodziło do form coraz trudniejszych, bardziej złożonych i wyrafinowanych stylistycznie. Skrzek jako kompozytor i lidera zawsze podciągał symfonię. Mając aplauz odbiorców na każdą propozycję, mógł swobodnie przemycić do swych utworów formy, jakich nie stosował dotąd zaden z rodzimych muzyków. Z jego inicjatywy nagrania SBB coraz bardziej wydłużały się, przybierając charakter niekończących się suit. W tej „ciągłej” formie mieściła się dobrze koncepcja symfonicznego rocka.

Niestety, muzyka Skrzeka była coraz mniej zrozumiała dla młodego odbiorcy. Oczywiście, zauroczeni magią SBB fani mieli ogromny szacunek dla swych idoli, dziennikarze pisali o nich w samych superlatywach, ale tak naprawdę mało kto wiedział, o co Skrzekowi i jego kolegom chodzi. Tymczasem grupa zdobywała się na coraz to nowe eksperymenty, tracąc na komunikatywności. Słyszano się to szczególnie w chwilach, kiedy Skrzek — intuicjonista — przeforsowywał w aranżach długie i meczące słuchacza, quasi-awangardowe pasáže. Pogoń za „nowoczesnością” brzmienia stała się też powodem zwiększenia udziału instrumentów klawiszowych w ostatecznym kształcie nagrań, a tym samym zmniejszenie aktywności gitarzysty i perkusisty. Dysproporcje aranżacyjno-brzmieniowe uwidaczniały się podczas koncertów. Skrzek był w nich postacią pierwszoplanową. Antymos i



Fot. Lech Pempel

Piotrowski stanowili jedynie tło dla popisu lidera.

Słuchacze przyjmowali występy SBB bezkrytycznie i mało kto dostrzegł w jego stylu pracy zapowiedź przyszłego rozłamu. Tymczasem zaś w jednoci artystycznej i melowej trójce zarysowywały się coraz bardziej widoczne pęknięcia. Właściwie przez cały czas jego istnienia, a zwłaszcza muzycznym decydował Skrzek. O ile początkowo koledy przyjmowali to z uznaniem dla lidera, tak z czasem nastąpiły w ich poglądach wyraźne różnice. „Tendencje odśrodkowe”, dzielące formację na dwa obozy, dały o sobie znać szczególnie po okresie wyjazdów zagranicznych.

W 1978 roku Skrzekowi udało się nawiązać bliski kontakt z agencją ARIES i firmą płytową Intercord-Spiegela, a następnie wydać w RFN pierwszy longplay „Follow My Dream”. Ciekawy muzycznie i brzmieniowo krążek, stanowiący ulepszony wariant polskiej „Pamięci”, znalazł uznanie producenta. W ślad za jego powodzeniem Intercord zdecydował się wydać następne, równie atrakcyjne dyski — „Welcome” i „Slovenian Girl”. Patronująca grupie agencja ARIES często organizowała jej koncerty w RFN, Austrii, Holandii, Skandynawii. Muzycy zdobywali tam nowych zwolenników, rozgłos i doświadczenia.

W tym czasie pobudzona wyobraźnia Skrzeka działała na wzmożonych obrotach. Aktywność koncertowo-nagraniowa stanowiła doskonały doping do realizacji samodzielnych planów kompozytora, dodajmy — różniących się znacznie od koncepcji zespołowej. Lider SBB nagral więc samodzielnie kasety dla Wifonu „Pamiętnik Karoliny”, a później, zadowolony jej przyjęciem, dwie solowe płyty „Ojciec chrzestny Dominika” i „Józefina”. Pomysłów nigdy mu nie brakowało.

Nie dzieje się jednak bez kosztów. Tworzenie własnych wizji muzycznych pochłaniało Skrzekowi coraz więcej czasu, a w dodatku uzależniło go od syntezatorów. W podziwianym przez szeroki krąg odbiorców zespole narastała powoli atmosfera niezrozumienia i wzajemnego zniechęcenia. Tym bardziej, że stopniowo, acz skutecznie, działalność SBB przeradzała się w cykl niekończących się popisów lidera, nużących monotonią. Musiało się to odbić na muzyce. Czwartym album „Ze słowem biegnę do ciebie” jest wymownym dowodem zanizania lotów. Dokooptowanie drugiego gitarzysty Sła-

womira Piwowara latem 1979 roku miało uzdrowić atmosferę zespołu i scementować go. Niestety, nadzieje okazały się płonne. Dla uważnych obserwatorów muzycznych dokonania SBB jasnym było więc, że prędzej czy później nastąpi rozdzielenie artystycznej jaźni, a w ostatecznym rachunku unicestwienie sławnego bandu. Przewidywania nie miały jednak racji. Przewidywania nie miały jednak racji. Przewidywania nie miały jednak racji. Przewidywania nie miały jednak racji.

O jego zasługach można by pisać bardzo długo. SBB odegrało znaczącą rolę w historii muzyki lat siedemdziesiątych. Bez przesady można dziś stwierdzić, iż wniosło do polskiego rocka trwałe wartości, nadało mu nowy kształt, uwzniośliło formę i wyprowadziło na europejskie wody. Działalność SBB była inspiracją do powstania wielu uznanych już formacji. To przecież w ślady comba Skrzeka poszły zespoły: Krzak, Kwadrat, Exodus, Porter Band, Kasa Chorych i Zjednoczone Siły Natury. Jakże bogata jest dyskografia grupy. W ciągu dziesięciu lat zdołała ona nagrać jedenaście longplayów.

Niezwykłe plastyczna muzyka Skrzeka towarzyszyła bardzo często obrazom Polskiej Kroniki Filmowej. Wykorzystywano ją chętnie w wielu filmach dokumentalnych i krótkometrażowych. Stanowiła ona też tło dla baletowych popisów Lubelskiego Teatru Wizji i Ruchu. Zespół triumfował w plebiscytach na najpopularniejszych wykonawców „Non Stopu”, „Jazzu” i radiowych audycji muzycznych w latach 1974—78. W 1975 roku brytyjski tygodnik „Music Week” uhonorował SBB, przyznając mu tytuł „Star Of Year”. Z kolei latem 1979 roku podczas Muzycznych Konfrontacji Pop Session w Sopocie Józef Skrzek otrzymał piękny puchar ufundowany przez miesięcznik „Non Stop” dla najwybitniejszej indywidualności muzycznej.

Magii SBB ulegali nie tylko polscy słuchacze. Ogromną renomę zyskały nagrania trójki z Czechosłowacji, NRD i na Węgrzech. Dziś, kiedy SBB przeszło do historii, z jego doświadczeń muzycznych skorzystają inne zespoły, choć nie sądzę, by którykolwiek z nich mógł konkurować z jego dawnymi zapisami. W pamięci słuchaczy SBB pozostanie na zawsze zespołem gwiazd, jakie spotykają się niezmiernie rzadko.

Szachowe lubliniana

Mezaj królewskiej gry z naszym miastem zaczął się w XVI wieku od razu na bardzo wysokim szczeblu, bo w gmachu ratusza. Jak wiadomo bowiem — znakomity burmistrz Fabian Sebastian Klonowicz (1543-1608), oddawał się tej grze.

Aby dowiedzieć się, jak w późniejszych czasach przedstawiała się sprawa szachów w Lublinie, warto sięgnąć do starych gazet. W numerze 56 z roku 1866 „Gazeta Lubelska” pisała:

„Lublin wslawił się po dziś dzień wieloma ludźmi na różnych polach wiedzy i działalności społecznej. Pierwszy jednakże raz miasto nasze zareklamowane zostało przez prasę przy stoliku szachowym. Jak wiadomo, w Nowym Jorku odbywa się turniej szachowy pomiędzy dwoma najwybitniejszymi w świecie: Zukertortem i Steinitzem. Stawka w tym turnieju wynosi 1000 dolarów (ok. rb. 4000).”

Wielki szachista Jan H. Zukertort urodził się w Lublinie 7 września 1842 r. Później uczęszczał do szkoły podstawowej. Jego ojciec był pastorem anglikańskim, matka

(Polska, z domu Krzyżanowska) prawdopodobnie lublinianka, gdyż rodzina ta wówczas mieszkała w naszym grodzie. W latach późniejszych Zukertort przebywał w Berlinie, następnie zaś w Londynie. Jak wielu ówczesnych wielkich szachistów, podobnie do obecnych gwiazd tenisa, Zukertort ustawicznie zmieniał miejsca zamieszkania, by poprzez uczestnictwo w uznanych turniejach zarabiał pieniądze. W roku 1878 na przykład wygrał silnie obsadzony turniej w Paryżu, reprezentując londyński klub St. George Club. Zukertort był więc zaciekle zawodowcem gry szachowej. Przypisuje mu się charakterystyczne powiedzonko: „W życiu są tylko dwa rodzaje zawodowstwa: uporczywa praca i profesjonalne lenistwo”.

Lata trochę później, przełom XIX i XX wieku najlepiej chyba scharakteryzują wspomnienia znanego arcy-nistrza rosyjskiego G. J. Lewenfisha, który opisał swój pobyt w „Kozim Grodzie”.

Lublin w tych latach był małym, cichym prowincjonalnym miastem o słabo rozwiniętym przemysle. Niewiele starych polskich kościołów sławiło się swoją architekturą. Odbióra miasta był obszerny, cienisty miejski park, gdzie w niedzielę grała pułkowa orkiestra. W szachy nauczyli mnie grać ojciec, gdy miałem 6 lat. Przyjechał Czigorina do Lublina wywołany ożywieniem wśród miejscowych szachistów. I chociaż choroba w tym okresie nadwyr-

zyła już zdrowie Czigorina, on jednak zawsze zgadzał się na prowadzenie gry jednocześnie. [...] Pobyt w Lublinie M. Czigorina zaktywizował miejscowych szachistów, którzy w rok po jego śmierci (1899), założyli pierwszy klub”.

Na koniec należy wspomnieć o szachowej karierze w życiu obecnego pracownika naukowego UMCS, doc. Reginy Gerlickiej. Długo mało kto wie, że znawczyni dziejów literatury i kultury polskiej jest posiadaczką najwyższego do tej pory trofeum, jakie wiodący wiek zdobył Polak w sporcie szachowym. Wywalczyła bowiem w roku 1936 tytuł wiceministrzyni świata przegrywając ze znakomitą Vera Mechnik z Czechosłowacji. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem — I i II miejsca nagrodzone były hymnem narodowym. Kolejny jej sukces to udział w roku 1937 w Olimpiadzie Szachowej Kobiet w Sztokholmie, gdzie zajęła III miejsce.

— A dlaczego nie wystąpiła pani na kolejną olimpiadę do Buenos Aires w roku 1937 — pytam doc. Gerlicką.

— Po prostu z braku funduszy. Wyjechała ekipa mekska i to ją oceniło od genialny okupacyjnych lat.

— Po raz ostatni jako zawodniczka zasiadła pani przy szachownicy w roku 1949...

— Tak i zdobyłam kolejny tytuł mistrzyni Polski. Od tamtej pory, niestety, nie uczestniczyłam już w żadnych zawodach. Ale sentymentem do tej pięknej gry — szachy nadal. Szachy bowiem są sztuką i to przez duże „S”, wymagająca wysiłku umysłu i dyscypliny wewnętrznej. Szachy są obrazem filozoficznego rozwoju, uczą taktyki myślenia i konsekwencji w działaniu.

W. L.

MOZARTOWSKIE REQUIEM

POCZTA
literacka



Paweł K. Łódź. Chyba zgodzi się Pan, iż najlepszy wiersz to „zatem odkryłem...” i właśnie on budzi najczęściej zastrzeżenia, choć przed całkowitą rozsypanką formy i treści broni go Pan budową zwrotki czterowersowej, powtarzalnością motywu krokodyla oraz frazy: „zatem odkryłem siebie...” Zastrzeżenia dotyczą niespójności następujących po sobie metafor i cząstek logicznych, dowolności przetrzutni i zupełnego surrealizmu niektórych zestawień. Jak np. wejść w jedną z tych zwrotek:

to było jutro tak zawyrokoowało nagle
obszedłeś noc dookoła wpięrw wzgardzi-
łeś sobą
tego nie wolno było nikomu zobaczyć
klatki zostały opuszczone tylko klatki
zostały

Roman L. Bytom. Pan także otwiera swój zestaw najlepszym wierszem („otumaniony”), zawierającym jednak fragmenty nie do przyjęcia w rodzaju: *adagietto z V symfonii niejakiego Mahlera jak zawsze przypominającego pacjentom z naprzeciwko kościoła dwudziestominutową śmierć w Wenecji do czego gwoli ścisłości przyznają się to prawda*

Tego rodzaju próżnie i pretensjonalne pustostawia mają ogromną siłę: są zdolne rozwalić najlepszy utwór. Podobnie ma się sprawa z „Na zakończenie prawie elegia”. Zamiar oddania agresywności swojego stosunku do otoczenia powierzono tu bezkrytycznie dobranym pojęciom: szubienice, krematoria, dziewczki, fagasy, sikista rozpacz, curriculum vitae.

Tadeusz Ch. Suwałki. Brak maszyny do pisania sprawił, iż mógł Pan przysłać tylko dwa wiersze i kilka fraszek. Z tych dwóch wierszy z zainteresowaniem przeczytałem „Oni z wiatru”. Ciekawa tu metaforyka, oparta na oryginalnym widzeniu zjawisk przyrody i krajobrazów, a co ważniejsze — podporządkowane do wszystkiego tam obecności i nieprzystosowaniu. Widzę ten wiersz jako debiut. Czy o to nam chodzi?

Maria Cz. Lublin. Na razie więcej mistrzowie osaczają Pani Muzę i nie pozwalają wyrwać się z zaczarowanego kręgu nastrojowej poezji. Bo przecież „Wysokie drzewa” już w samym swoim tytule to pogłos znanego utworu Staffa. Z kolei „Gdy przyjdzie zima” to przecież wypisz-wymaluj Mickiewicz wsparty na Judahu skale.

Renard S. Lublin. „Piszę, a właściwie staram się pisać o miłości. Uważam, że jest to najpiękniejszy temat”. Co do tego, jestem w całkowitej zgodzie z panem. Sprawa, jednak komplikuje się z chwilą, gdy sięgniemy po któryś z przykładów realizacji tego szczytnego tematu:

Delikatne two ciało upaja
Piękne oczy, włosy i brwi
Mały nosek i usta czerwone.
No i reszta, co nieraz się śni.

Z tego i innych wierszy wynika, że ma Pan bardzo konsumpcyjny stosunek do obiektu swojej miłości. Poza tym nie sztuka jest zakochać się w ślicznej dziewczynie, lecz w przeciętnej lub wręcz brzydkiej i jej ustom i oczom nadać walor poezji. Cały legion takich brzydactw czeka na swoich plewcowi!

Marek S. Zambrów. Tak — nadal żadnych postępów.

Edmund S. woj śledzieckie. Dysponując całą górą fraszek. Proponuję „Szpilki”, „Karuzelę” lub podobne, niekiedy pozabawione poczucia humoru, pisma.

H. P.

Requiem, oznaczone w katalogu Köchla numerem 626, jest nie tylko ostatnim utworem kościelnym Mozarta; jest ostatnim jaki wyszedł spod jego pióra. Lecz to określenie nie jest ścisłe; udział Mozarta w tym, co świat zna jako Requiem, ogranicza się do ośmiu części — od ukończonego Requiem aeternam do ledwie naszkicowanego Hostias. Wokół tej kompozycji narosła legenda, zrodzona przez „romantyczne” okoliczności jej powstania. Tymczasem była to praca na zamówienie. Klientem Mozarta był hrabia Franciszek Walsegg zu Stuppach, którego entuzjazm dla muzyki przejawiał się w organizowaniu prywatnych koncertów i umieszczeniu w ich programie cudzych kompozycji, podawanych jako własne. Mając „w planie requiem dla zmarłej żony, posłał do Mozarta swego plenipotentą, niejakiego Leutgeba, z zamówieniem. Kompozytor zasiadł do pracy, ale wkrótce musiał ją przerwać ze względu na *Laskawość Tytusa* i *Czarodziejski flet*. Podobno Mozart, pertraktując z Leutgebem, nie znalazł nawet nazwiska jego mocodawcy.

Po śmierci męża Konstancja Mozart obawiała się, iż hr. Walsegg nie zechce zapłacić za dzieło nie wykonane, uprosiła tedy Süßmayra, aby nadał Requiem kształt ostateczny. Spełniwszy swe zadanie, Süßmayr przez dłuższy czas nie przyznał, że przysługuje mu właściwie miano współautora dzieła, bo Mozart, od *Dies irae* aż do *Hostias*, wpisał do partytury tylko głosy wokalne, bas i tu i ówdzie sugestie dotyczące instrumentacji. Rzecz wyjaśniła się w roku 1800, ale do romantycznej wizji twórcy zdecydowanie lepiej pasowały legendy o gasnącym kompozytorze, który ostatkiem sił kreślił na papierze takty utworu, będącego jednocześnie jego pożegnaniem ze światem.

Requiem pozostaje więc dziełem artystycznie nierównym, gdzie geniusz Mozart sasiaduje z niezbyt oryginalnymi pomysłami Süßmayra. Przechodząc od krzyku do błagalnej prośby, *Rex tremendae maiestatis* czy posępne *Lacrimosa* dorównują najspanialszym fragmentom muzyki kościelnej, jakie stworzył Wolfgang Amadeusz. Z drugiej strony — znajdujemy w partyturze banalną i nazbyt krótką fugę *Osanna*, napisaną przez „redaktora” dzieła. Atmosfera tego utworu to wcale nie obawa przed śmiercią, to nie trwoga

i przerażenie; cztery lata wcześniej, w 1787 roku, Mozart w liście do ojca nazywa śmierć „prawdziwą, najlepszą przyjaciółką człowieka” i — jak świadczy muzyka Requiem — tak o niej myślał do końca.

Faktem jest, że ogół publiczności uważa dzieło Mozarta za jedną z najwybitniejszych kompozycji tego rodzaju. Dlatego dobrze się stało, że ten właśnie utwór zamykał mial koncertową działalność lubelskiej Filharmonii w roku 1980. Udało się trafnie skompletować kwartet solistów (Teresa May-Czyżowska, Krystyna Szostek-Radkova, Jerzy Dąbrowski, Paweł Janowski), co nie jest sprawą łatwą, jako że głosów typowo mozartowskich ze świecą dziś w Polsce szukać. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Kto podejmie dziś ryzyko specjalizowania się w partiach mozartowskich, jeśli kompozytor ten nie jest znówu tak częstym gościem na polskich scenach i estradach, a jednocześnie niezaprzeczone kwalifikacje wykonawcze nie są równoznaczne z obfitością koncertowych propozycji? Mamy w Polsce spory zastęp śpiewających pań i panów, którzy podejmą się każdej roli, a wykonają ją przeciętnie, ale poprawnie. Wśród solistów lubelskiego Requiem na czoło wybija się Krystyna Szostek-Radkova, śpiewająca z ogromną kulturą, wycuciem stylu i lekkością; na wstępie koncertu wykonała *Jesu, spes mea* Szarzyńskiego w sposób absolutnie wzorcowy. Chwaląc solistów, trzeba pamiętać, że niepoślednia rola w Requiem przypada chórowi. Chór „Echo” jest w tej chwili jedynym lubelskim chórem, który mógł się tego zadania podjąć. Zbyt wiele było jednak w partii chóralnej niedokładności temp i brzmień, aby można to było pominąć milczeniem. Orkiestra pod batutą Adama Natanka konsekwentnie dążyła do poziomu solistów, a nie chóru, stając po stronie zalet tego wykonania.

Muszę przyznać, że dość dziwnym wydał mi się pomysł wzmocnienia efektu dźwiękowego przez zastosowanie mikrofonów. Głośniki, umieszczone po obu stronach nawy głównej Katedry (a jest to przecież świątynia o dobrej akustyce!), nieznośnie brzęczały i buczały, zaczęłam więc podejrzewać, że obsługujący aparaturę pan ma częściej do czynienia z dyskotekami...

Stefan Münch

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

✦ Tegoroczna zima, jak dotąd (nie można jej wierzyć, bo jest istotą rodzaju żeńskiego), okazuje się wyrozumiałą dla ciężkiego kryzysu gospodarczego, jest łagodna i umiarkowana. Temperatura jest mała, waha się od -0 do +0 i dostarcza sportowcom lubelskim wielu rozrywek. Na przykład ślizgawki bezpłatnej na chodnikach i saneczkowania na wszystkich pochylonych ulicach. Ślizganie (bez tyżew) na chodnikach uprawiają przymusowo z mniejszym lub większym powodzeniem wszyscy przechodnie — saneczkowanie zaś przeważnie młoda andruserja. Jest to sport bardzo miły, zdrowy i godziwy — tylko, że nie we właściwych uprawianych miejscach. Ale co dziwić się małym obywatelom, kiedy u nas wszystko jest na opak i pełno mamy nie-

właściwych ludzi na niewłaściwych miejscach? Torów saneczkowych uruchomiono w śródmieściu kilka: w Bramie Trynitarzkiej, przy ul. Królewskiej, Zmigród, Podwał itd. — Aż tętni tam życie, malcy uwijają się żywo z saneczkami, często przemyślnie skonstruowanymi z dwóch deseczek, i wyslizgują jezdnie, aż miło. W zapale zabawy nie myślą o biednych koniach, które będą wieść pod górę ciężary. Ale i często ludzie, niby dorośli nie myślą o ciężarach, które rzucają lekkomyślnie na ramiona społeczeństwa, byleby oni mogli się ślizgać na arenie politycznej.

✦ Święta Bożego Narodzenia, Sylwestrowa Noc, Nowy Rok i Trzech Króli minęły w Lublinie na ogół spokojnie i blado — unosilo się nad nimi widmo kryzysu gospodarczego, który dziś jest niepodzielnym panem sytuacji. Wszędzie luzy moralne, prawne, budżetowe i co za tym idzie — brak pieniędzy. Za to coraz więcej mamy trzeźwych ludzi. Brawo! To nie dziwnego. Gdy najbardziej zrównoważony człowiek popatrzy w naszą polską rzeczywistość, zatoczy się jak pijany. I po co takiemu pić. Innych zaś rzeczywistość zwala z nóg jak najcięższy alkohol innych znów nie upija, a upaja. W takich warunkach jest zrozumiałe, że ludzie mniej piją.

Głos Lubelski

Wybrała: Anna Orzechowska



Szanowny Panie Redaktorze!
Szczególną uwagę zwróciłem na zamieszczony w „Kamieniu” nr 26 (720) artykuł Stanisława Bubeniana pt. „Łagodny urok starych listów”. Rzecz ukazuje postać Gustawa Dolińskiego, popularnego ongi w Lublinie lekarza, literata i społecznika, po raz pierwszy w świetle prywatnej jego korespondencji, jaką prowadził z najbliższą swoją rodziną.

Listów, pisanych przez mego dziadka, zachowało się zaledwie kilkanaście. Odsłaniają one częściowo cechy osobowości ich autora — i te zostały uwypuklone we wspomnianym artykule — kryją też obszerny wątek obserwacji społeczno-obywatelskich. Stanowią więc w pewnej mierze ciekawy dokument minionych czasów.

Listy owe ukazały się drukiem na łamach „Kamieny” we fragmentach, przytoczonych w publikacji p. St. Bubeniana. Uważam wszakże, że mogą być wykorzystane także w szerszym aspekcie tematycznym.

Z poważaniem

Andrzej Doliński
Londyn

KRONIKA

✦ Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym lubelskiego oddziału ZLP w Lublinie dokonano oceny działalności środowiska pisarskiego regionu oraz nakreślono kierunek jego działania na najbliższe 3 lata. Wybrano nowe władze oddziału. Prezesem został Bohdan Królikowski, a funkcje wiceprezesa powierzone Marii Bechczie-Rudnickiej oraz Zygmuntovi Mikulskiemu. Sekretarzem oddziału został Józef Zięba, a członkami — Maria Józefacka, Longin Jan Okon i Waldemar Michalski.

✦ Od kilkunastu tygodni głośnie była w Lublinie sprawa nowego pomieszczenia dla pogotowia ratunkowego, które od lat pracuje w ciasnym budyńcu przy ul. Sławowskiego. Najczęściej proponowano, by pogotowie zajęło obiekt KM PZPR przy ul. Obrońców Pokoju. Tymczasem komisja z udziałem przedstawicieli „Solidarności” ożrekała po wizji lokalnej, że nie nadaje się on dla potrzeb pogotowia. Wskazano jednocześnie, że szybko i tanim kosztem mogłoby ono zaistalować się w budynku przychodni przy ul. Weteranów, która z kolei prze-

niosiaby się do gmachu przy Krakowskim Przedmieściu.

✦ A teraz głośnie mówi się o kolejnej sprawie lokalowej, związanej z gorącym pragnieniem władz lubelskich powołania w mieście filii warszawskiej Akademii Muzycznej. Na siedzibę nowej uczelni wytypowano pałac przy Placu Litewskim 5 — muzykę zawsze snuli się po pałacach — należą do UMCS i wykorzystywany przez studentów wychowania muzycznego! Za słaba to, widać, konkurencja dla Akademii, skoro zamierza się ją przenieść do kamienicy czynszowej przy ul. Skłodowskiej 2. UMCS protestuje.

✦ Czasy mamy ciężkie, więc ludzie kombinują. Pewna pani z Puław — nieorwęd nie znany nazwiska — kupiła w sklepach 20 dywanów wełnowych, a potem sprzedała je, na każdej sztuce zarabiając od 3 do 19 tys. zł. Oplacają się też patelnie: za jedną, która kosztuje w sklepie 26 zł, można otrzymać na wolnym rynku i 150 zł.

✦ Kabaret „Czart” lamentuje, że lubelska „Estrada” zrezygnowała z opieki nad tą scenką, mimo że liczy ona ponad 20 lat i cieszy się uznaniem publiczności. Trochę nie rozumiemy sfrustrowanego „Czarta”: jeśli taki dobry, to chyba sam potrafi zarobić na swoje utrzymanie (plus PK?)! Liczymy, że Kazimierz Pawełek wyjaśni nam sprawę z właściwą sobie wnikliwością i obiektywizmem.

✦ Przyznano wojewódzkie nagrody kulturalne. Przed oficjalnym ogłoszeniem listy laureatów podajemy tylko, że dwóch z nich

zasładało w komisji przyznającej te nagrody.

✦ Klienci skarżą się, że właściele taksowek bagażowych Lublina kpią w żywe oczy z cennika za usługi przewozowe i śledząją z ludzi opłaty znacznie wyższe od obowiązujących.

✦ O śmierci i miłości rozmawiali uczestnicy seminarium filmowego studenckiego klubu „Bariera”, działającego w „Chatce Zaka”. Imprezie „Eros i Tanatos” nadano odpowiedni poziom, obok krytyków itp. zapraszając dr. Zbigniewa Lwa Starowicza, jednego z czołowych specjalistów seksuologii, który od lat intensywnie działa na tym polu.

✦ W połowie 1982 roku ma być podobno zakończona budowa wojewódzkiego centrum telekomunikacji na Czechowie, co w pierwszym rzędzie zwiększy liczbę telefonów w tej dzielnicy Lublina — o kilka tysięcy numerów. Na założenie telefonu czeka się u nas przeciętnie 8-10 lat, czasami krócej, w zależności od miejsca zamieszkania.

✦ Andrzej Strumilo urodził się w Wilnie w 1925 roku. Studiował pod kierunkiem W. Strzemińskiego w Łodzi i E. Eibischa (przez tę lublinianina z pochodzenia) w Krakowie. Uprawia malarstwo, grafikę, fotografię, scenografię oraz pisze wiersze. Zobaczymy zatem wystawę artysty, otwartą w połowie stycznia w lubelskim BWA.

✦ „Dokumenty kompartowe” Tadeusza Mysłowskiego (przedstawialiśmy niedawno w „Kamieniu” wywiad z artystą) z lubelskiej galerii „Labirynt” trafiły do Wrocławskiej Galerii Fotografii.

Apollinaire w Salonie Jesiennym

Matylda Welna

W SIERPNIU była tam tylko niewielka wystawa Grazzianiego, który poświęcił się malowaniu Sahary. Aż tu pod koniec października francuska TV podała wiadomość, popartą stosownym reportażem, że prezydent Republiki dokonał właśnie... otwarcia wystawy sztuki współczesnej w Grand Palais.

Otwarcia dokonano, ale wystawa nie była gotowa. Jeszcze w pierwszych dniach listopada wszystko było in statu nascendi: napływały skrzynie z obrazami, a nazwiska wystawiających przesłonięte były kartkami papieru; pod stopami chrzęściły wióry i trociny, próbowano głośników i podkładu muzycznego. Ale wisiały tam już tysiące (!) obrazów. Osobne pomieszczenie poświęcono akwareli, osobne prymitywom, fotografii i „młodemu reportażowi” w tej dziedzinie, a także tapicerii, dekoracji wnętrz, rozwiązaniom urbanistycznym, rzeźbie monumentalnej itp. Istny labirynt.

Ubiegłoroczny Salon Jesienny w Paryżu zorganizowany został pod znakiem Apollinaire'a z okazji setnej rocznicy jego urodzin — 26 sierpnia 1880 roku. Również listopad jest miesiącem poety; był ostatnią ofiarą „tamtej” wojny; zmarł bowiem 9 listopada 1918 roku po posztych głowy na francie.

W jednym z listów do swej wojennej narzeczonej, Madeleine Pagés, Apollinaire tak się ustyłował: „Nietzsche był Polakiem jak ja. Wielki pisarz niemiecki to znów Polak, Przybyszewski (nie czytywałem go). Trzech jest dziś Polaków znanych w literaturze, a żaden z nich nie pisał po polsku: Conrad w Anglii (ma talent), Przybyszewski w Niemczech i ja we Francji”.

Apollinaire przyznawał się polskości, podkreślał ją, ale sprawa wcale nie była tak jasna dla współ-

czesnych, jak również nie jest dość jasna dla potomnych. Toteż we wspomnianych głównych pawilonach tegorocznego Salonu Jesiennego zebrane skrzętnie pamiątki — i po raz pierwszy publicznie pokazane — wywołały sensację. Dokonało się na tej wystawie — jak słusznie napisano w jej wspólnie wydanym katalogu — „magiczne zmartwychwstanie poety”.

Wobec dopiero co przyznanej Czesławowi Miłoszowi nagrody Nobla polskie pochodzenie matki Apollinaire'a (jak wiemy, była nią Angelika Kostrowicka) nabierało dla Francuzów szczególnego posmaku. Oglądali z zapalem i skrupulatnie gąbłoty wypełnione po brzegi (metryka urodzenia, fotografie rodzinne, rękopisy, listy, rysunki i karykatury, pierwsze wydania utworów, czasopisma, w których drukowane były wiersze — dużo tego), czytali fotokopie życiorysu, którego autorka, Jeanne Warnod, zanymuje na samym wstępie: Polak, Francuz, czy rzymianin? Bo — jak wiadomo — Wilhelm Albert Włodzimierz Aleksander Apollinaire Kostrowicki (syn z „nieprawego łoża” potomka świetnej rodziny włoskiej Francesco Flugi d'Aspermont) urodził się w Rzymie, a naturalizował we Francji. I, o dziwo, wszystko to teraz dopiero — po Gombrowiczu, Miłoszu i Wojtyśle — stało się dla większości paryżan tematem fascynującym.

Rocznice Apollinaire'a uświetniono więc znakomicie. Zaprezentowano publiczności — nie tylko przecież francuskiej — poetę w kontekście malarstwa, poezji, teatru, muzyki.

Był rok 1900, nazwany „piękną epoką” — lata nadziei i lata kryzysów, narodziny przemysłów, postęp w komunikacji, automobili, aeroplany, kino, kubizm w malarstwie. „Apollinaire jest katalizato-

rem ruchów swej epoki”. Jeden z jego przyjaciół, Pierre Reverdy, powiedział o nim: „Bardziej niż ktokolwiek dzisiaj, on wykreślał nowe drogi otwarte na nowe horyzonty”.

Udokumentowano to dobitnie, zebrawszy aż 249 obrazów, zwiniętych z nim bezpośrednio lub będących jego własnością. To załazek kubizmu, który Apollinaire wylansował w znakomitych krytykach i felietonach i w swojej książce „Kubizm”, która po dziś dzień nie straciła na wartości. Z sentymentem odtworzono herbatki poetyckie z 1910 roku, „Lucernaire Forum”. Zespół aktorski przygotował spektakl z tekstów poety; oglądałam go na scenie, lecz był równocześnie przez głośniki transmitowany na cały dziedziniec Grand Palais.

W jednym z pawilonów, odgródzone zielonymi tutelem od napierającej publiczności, ukazano wnętrze pokoju Apollinaire'a z ostatniego jego mieszkania przy Boulevard Saint-Germain. Ów słynny wysoki tapczan, na którym nie pozwalał nikomu siedzieć, przykryty był teraz sztywną białą kaną; ciemna, wysoka szafa z lustrem, sofa, imitacja kominka, na nim lampa z abażurem i — stół. „Stół Apollinaire'a, z grubego drzewa, o kwadratowym blacie, z okrągło ściętymi kantami wyszlifowanymi od używania, poszczerbiony, z wyraźnie pod pokostem widocznymi stojami” (Julia Hartwig: „Apollinaire”).

Na ścianach obrazy. Z repliką słynnego dzieła Marii Laurencin „Apollinaire i jego przyjaciele”. Nazwiska: Picasso wierny do końca, ówaz Maria — nieszczęśliwa miłość poety, Braque, Gris, Leger, Delaunay, Kisting, Chagall, Chrico, Ferat. Poza tym fetyczne afrykańskie w postaci rzeźb, laska, ów przestrelony kask piechura, o którym to kasku poeta powiedział: „uratował mi życie”. Zebrano dziesiątki przedmiotów, które Apollinaire kochał, a które do tej pory nie były znane. Przypomniano jedną z sentencji: „Kocham sztukę dzisiejszą, ponieważ kocham przede wszystkim światło — i wszyscy ludzie kochają przede wszystkim światło, i — wynaleźli Ogień”.

EKRAN I WIDZ

WOJNA Z POZYCJI KOMIKSU

O GROMNE zainteresowanie, jakim cieszy się wyświetlany ostatnio na naszych ekranach angielsko-amerykański „dramat wojenny” Richarda Aldricha „Parszywa dwunastka”, potwierdza jeszcze raz fakt światowej popularności filmów, które można by określić mianem „wojennych komiksów”. Prosta z zasady, „przygodowa” fabuła, wpisana w ogólnie znane do historyczne, dynamiczna akcja z jak najczystszy wykorzystaniem fizycznych umiejętności bohaterów oraz efektów pirotechnicznych, „przygoda” wzbogacona jeszcze nierzadko horrorem, a narysowana grubą, zdecydowaną kreską. Wszystko to przypomina typowy amerykański komiks, którego czytelnik posuwa się bezproblemowo od obrazka do obrazka, aż ku pozytywnemu, zazwyczaj, zakończeniu.

Tworcom „komiksu wojennego” nie chodzi o pokazywanie konkretnej wojny, ani o penetrowanie historii, lecz o stworzenie swoistego „dreszczowca”. Jednym z pierwszych i od razu doskonalszych dzieł tego gatunku były nakręcone w 1951 r. przez Jacka Lee Thompsona „Dziana Nawarony” wg słynnej książki McLeana: akcja komandosów angielskich na jedną z baz niemieckich, znajdującą się na niedostępnej wyspce. Reżyserzy upodobili sobie od tej chwili komandosów — jako bohaterów swoich filmów — bo z komandosami można było zrobić praktycznie wszystko; zrzucić ich na spadochronach, kazać im uprawiać wspinaczkę wysokogórską, wrzucać ich do wody, taplać w śniegu lub nurzać w błocie. Mielisny więc następnym film: „Wszystko dla orłów”, „Komandosi” i szereg innych, do których można by zaliczyć chyba także niedawno u nas wyświetlaną „Ucieczkę na Ateny”.

„Parszywa dwunastka” została nakręcona przed trzynastoma laty. Ale z punktu widzenia gatunku, do tej pory zachowała świeżość. Może zresztą dzieje się tak między innymi z uwagi na fakt, że gra w niej cała plejada aktorów dzisiaj znajdujących się u szczytu powodzenia (i weale nie postarzających od tamtego czasu), jak Lee Marvin, Charles Bronson, John Cassavetes, Telly Savalas (słynny Kojak) oraz Donald Sutherland. Tych dwóch ostatnich oglądaliśmy zresztą niedawno w doskonale zrobionym „wojennym komiksie” amerykańskim „Złoto dla zuchwałych”.

Richard Aldrich podjął się w swym filmie opowiedzenia historii brawurowej akcji komandosów amerykańskich na zamek w Rennes będący w latach drugiej wojny światowej rodzajem ośrodka wypoczynkowego dla wyższych oficerów sztabowych armii niemieckiej okupującej Francję. Akcja została zaplanowana tuż przed inwazją Aliantów w Normandii i ma na celu „wyeliminowanie” co tęższych mózgow ze sztabu feldmarszałka Rommla. Atakujący nie mają prawie żadnych szans przeżycia po wykonaniu zadania, muszą być rodzajem japońskich „kamikadze”...

Zeby było ciekawiej, Aldrich postanowił „wzbogacić” film o psychologię: „parszywa dwunastka” to tużin wojskowych skazańców (kara śmierci lub długoletnie więzienie) — oczajdu-szów, morderców z zinną krwią oraz psychopatów, dla których akcja na zamku w Rennes i zabicie znajdujących się tam oficerów stanowi jedyną szansę anulowania wyroku sądowego. Dowódcą tak skompletowanego oddziału, major Reisman (sam — jak się wydaje — też lepszy gagatek), potrafi doprowadzić podległych mu ludzi nie tylko do wyżyn sprawności bojowej, ale usiłuje ich także „zresocjalizować” — jak by się dzisiaj powiedziało. Taki chwyt scenariuszowo-reżyserki miał bez wątpienia służyć zbytnią brutalnością filmu; nie pierwszy raz odwoływanie się do „ideologii” usiłuje odwrócić uwagę od wątpliwych moralnie poczynań. Tak więc, choć w „Parszywej dwunastce” winni zostają — tak czy inaczej — ukarani i prawo oraz moralność triumfują, to jednak ten „wojenny komiks” zalutuje przecież nienajszlachetniejszą wonią.

M. D.

PRASOWANIE NA ZIMNO

JAK PISAĆ?

ZYCIE stało się teraz fantazyjne, garbaci mogą bez skrupułów zrzucić swoje garby, wkleśli mogą się u-wypuklić, teherzliwi odważnie, o-bojęni angażować, ponizani wywyższać, ogłupianą mądrzeć, a mądzy nie muszą już udawać idiotów. Wiatr od morza jest silny, fala burzliwa, można się zalać, popłynąć wysoko, wnieść nad poziom, by następnie spłynąć stamtąd łagodnie do wielokilometrowej kolejki po kostkę margaryny.

A mnie głupio i trwożno, wy-przytykałem się w okresie błędów i wypałem, wypałem w okresie sukcesów oraz osobistej kariery i teraz, kiedy nastał fajny czas kłębki, nie mam nic do powiedzenia, wszystko, co miałbym dziś do powiedzenia, zostało między dawnymi wierszami, cała moja odwaga skamieniała w starych podtekstach, aktywność wymyśliła się w aluzjach, inwencja stepiła w beznadziejnej szarpaninie słów, którymi chciałem, omijając rały cenzury, trafić do wyobraźni sprytnych czytelników.

Ba, na coż jednak były czytelnikom ciele komunikaty o wydobyciu dobowym, na co zgłodniałym zjadaczom chleba zakaleowanego, wplekanego w piekarniach-gigantach na podstawie receptur sporządzanych przez docentów piekarnictwa, zda się dźwięczny głos Krystyny Loski perliący o jakości i rentowości piekarstwa w Polsce?

Nie mogę się tu przed wami, drodzy szwoleżerowie odnowy, niczym poszczycić, nie byłem w minionym okresie prześladowany, tępony, niszczone, gnębiony, tamszony i szmaczony, wręcz przeciwnie — sam własnoręcznie tępiłem i niszczyłem, tamsiłem i robiłem wszystko, co tylko się dało. Dziś nie mam alibi i moralnego prawa do udziału w waszej solidarności. W szczytowym okresie propagandy sukcesu posiadam

miałem tłustą, lukratywną, pracowałem w prasie technicznej, gdzie byłem bardzo postępowy, zwłaszcza w dziedzinie postępu technicznego, pisałem sensacyjne artykuły o krosnach, przedzarkach, snowarkach i licencjach, o nowoczesnym garbowaniu skór bydłych w socjalizmie i ucziwie muszę powiedzieć, że żadnego z tamtych artykułów owa rzekomo surowa cenzura mi nie zdjęła. Dorobiłem się w tamtych czasach indywidualnej kariery, nawet samochodu, za który zapłaciłem przed pięcioma laty 69 tysięcy, a dziś nabrał on wartości antyku i bez trudu mogę go sprzedać za 100 tysięcy. Czy ja mogę narzekać, czy ja mam prawo się uskarżać?

Przed dwoma laty w „Prasie Polskiej” napisałem: „Wątpię czy istnieje drugi taki kraj, gdzie wiadomości rozpowszechnione pod postacią plotki rozprzestrzeniają się szybciej i dolecają do odbiorców łatwiej niż informacja rządowa za pośrednictwem najnowocześniejszych urządzeń elektronicznych, gdzie informacja prywatna traktuje się bardziej wiarygodnie niż informacja oficjalna, gdzie prasa gorliwie śledzi spadek kursu dolara niż losy złotówki, gdzie nastąpił tak szybki wzrost oszczędności, że prasa, nie nadążając za nim, przestała go odnotowywać, gdzie najbardziej narzeka się na trudności z zaopatrzeniem, siedząc przy bogato zastawionych i auto zakrapianych stołach, gdzie inne dowcipy się drukują, a zupełnie inne opowiadają”.

Mój dawny szef poczuł mnie przy lada okazji: „Jak już musisz koniecznie myśleć, to lepiej nie mów, jak już musisz mówić, to chociaż nie pisz, a jak musisz pisać, to chociaż się nie podpisuj”.

Ponieważ jednak wszystko, co piszę, piszę bez żadnego przymusu i terroru, więc mogę sobie pozwolić na luksus podplisywania tego. Co myślę o tych, którzy wstydy się dziś swoich tekstów napisanych dziesięć czy dwadzieścia lat temu? Współczuję im, gdyż niewdzięczność to zajęcie wyrwać teraz ze zsywek artykuły, których się trzeba wstydić przed własnymi dziećmi. O wnukach nie wspominać, gdyż w dzisiejszych stosunkach rodzinnych są to już osoby prawie całkiem obce.

A jak dziś pisać? Tak, żeby się nie wstydić tego dzisiaj.

Karol Badziak

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyńska-Kudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłozą.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumerata ze skontem wysyła się granicę przylatuje RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Centrala Kółportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 36, 00-953 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1133-201045-133-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 30 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Kambinat Wydawniczo-Kółportażowy w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 254-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne DR PKN w Lublinie, ul. Unicka 4, PL ISSN 0137-7108, Nr indeksu 3673, Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2A.

Telefony sekretariatu redakcji naczelnej 254-93, sekretarza redakcji 218-94, działu publicystyki i literackiej 775-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.